

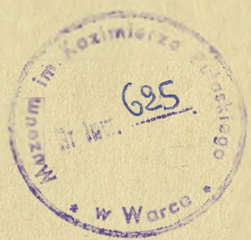
MADE IN U. S. A.

MICHAŁ SURYC

# MADE IN U. S. A.

## WŁÓCZĘGI PO AMERYCE

WARSZAWA — 1937
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA




DRUKARNIA JÓZEFA ZIELONY, WARSZAWA

## PRZYJAZD DO NOWEGO JORKU.

Okręt „Piłsudski“ przybył do Nowego Jorku o siedem godzin wcześniej, niż to przewidywał rozkład podróży. Fakt ten jeszcze bardziej podniósł uroczysty nastrój chwili. Staliśmy u kresu wielkiej, inauguracyjnej podróży pierwszym polskim transatlantykiem, przypominającym najwytworniejsze okręty kursujące po oceanie. Już od wczesnej godziny podróżni gromadzili się na pokładzie. Wzrokiem utkwionym w dal wypatrywali lądu, noszącego tak wiele obiecującą nazwę: Nowy Jork.

Około ósmej rano okręt zatrzymał się w pobliżu wyspy Ellis Island, zwanej powszechnie „Wyspą Łez“. Od czasu, gdy zamknięto bramy Ameryki dla masowej imigracji, Ellis Island straciła na znaczeniu. Sprowadza się obecnie na tę wyspę nielicznych śmiałków, pragnących bez wizy przedostać się do „złotego raju amerykańskiego“ lub emigrantów, których papiery zostały zakwestionowane przez urzędników portowych. Emigranci,

przebywający czasowo na tej wyspie, nie żyją z własnych funduszów, lecz pozostają na utrzymaniu państwa. Otrzymują również bezpłatne mieszkanie. Mogą nawet oglądać ciekawe filmy w tutejszym „movie tonie".

Okręt „Piłsudski" niedługo stoi osamotniony przy „Wyspie Łez". Niebawem zjawiają się małe statki, parowce, łodzie motorowe, natłoczone Polakami, którzy przybyli do Nowego Jorku z licznych miast Ameryki, by powitać polski statek. Wielu zwolniło się tego dnia od pracy. Do naszego jednak motor-ship'u nie dopuszcza się tych małych łodzi, motorówek i statków. Okrążają nas kilkakrotnie i witają głośnymi okrzykami. Nasz olbrzym wita gości przenikliwym, ostrym gwizdem syreny. Na statkach, z których największy wiózł około tysiąca Polaków, rozlegają się powitalne dźwięki orkiestr. „Piłsudski" w odpowiedzi odegrał uroczyście hymny — polski i amerykański.

Pierwszą jaskółką, która zawitała do nas z lądu amerykańskiego, była grupa dziennikarzy. Zaroiło się na pokładzie od reporterów, operatorów filmowych i fotografów. Uzbrojeni w pióra, notesy i aparaty, poczęli łowić z wrodzoną im zręcznością słowa, myśli i wrażenia. Zaproszono ich do obficie zastawionego stołu, przy którym zawiąza-

ła się serdeczna rozmowa na temat stosunków polsko-amerykańskich.

Z Ellis Island okręt ruszył dopiero około trzeciej popołudniu. Według międzynarodowej umowy nie wolno wjeżdżać do portu wcześniej, niż to przewidziane zostało w rozkładzie jazdy. Mijamy słynną na świat cały amerykańską Statue of Liberty. Ta otyła pani, dzierżąca w jednej ręce książkę, a w drugiej wysoko wzniesioną pochodnię, jest już w obecnych czasach wyraźnym anachronizmem. Pochodnia, wyobrażająca symbol wolności — otwartą, wolną, oświetloną dla wszystkich drogę do Ameryki, jest w naszych oczach, wobec zupełnego zakazu emigrowania do Stanów Zjednoczonych, gorzką, naigrywającą się z ludzi, ironją.

Okręt zawinął do portu Hoboken. Miasteczko Hoboken, liczące przeszło sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, nie należy, jakby się zdawało, do stanu New-York, lecz do stanu New-Jersey. Zamieszkane jest przeważnie przez Polaków. Dyrekcja linij żeglugowych Gdynia — Ameryka celowo wyznaczyła jako przystań dla „Piłsudskiego“ polskie miasto portowe Hoboken.

Na nasze powitanie przybywają członkowie polskiego konsulatu w towarzystwie przedstawicieli nowojorskiego City Hall z nieżyjącym już dzisiaj vice-prezydentem Bernardem Deutschem

na czele. Zjawiają się również inspektorzy dla spraw emigracyjnych.

Po zakończeniu oficjalnych przemówień i toastów, rozpoczyna się przesłuchiwanie każdego pasażera z osobna przez inspektorów emigracyjnych. Niektórzy z nich porozumiewają się z imigrantami w języku żydowskim. Wypytują każdego dokładnie, w jakim celu jedzie do Ameryki, czy posiada tam krewnych, ile pieniędzy wwozi, gdzie będzie mieszkał, jak długo ma zamiar pozostać i t. p. Specjalnych trudności nie robi się tutaj nikomu.

W kolejce do inspektora emigracyjnego znalazło się między innymi dwóch Polaków — jeden z Poznania, współpracownik antysemickiego brukowego pisma, drugi — to poprostu zoologiczny antysemita, który przez cały czas podróży nie raczył nawet spojrzeć na Żyda. Przysłuchiwali się napoły zdziwieni, napoły rozdraźnieni śmiałej rozmowie, prowadzonej przez inspektorów z wieloma emigrantami w języku żydowskim. Redaktor brukowego piśmidła zwrócił się do znajomego i głosem zniżonym szepnął mu do ucha:

— W Ameryce, zdaje się, nie ma antysemityzmu.

— Tak, ma pan rację — westchnął drugi — w tym kraju istotnie nie ma jeszcze antysemityzmu. Ale zapewniam pana — i do nich zawita!

Nienawiść głęboko zakorzeniła się w duszach tych panów, skoro nawet w obliczu amerykańskiego lądu i wspaniałego żywiołu oceanicznego, nie mogli ani na chwilę zapomnieć o — poznańskich metodach.

Po zakończeniu wszystkich formalności podróżni mogli już swobodnie opuścić okręt i zstąpić na ląd amerykański. Rewizja bagażu odbywała się w błyskawicznym tempie. Dzieje się to zawsze dzięki doskonałej organizacji komory celnej. Dla każdej litery przeznaczone są specjalne stoły rewizyjne i odpowiednia ilość urzędników. Rewizja jest zresztą dość powierzchowna. Amerykanie zdają sobie doskonale sprawę z tego, że w dobie obecnego kryzysu Polacy nie przywożą swym krewnym ani znajomym drogocennych pamiątek i upominków. Amerykanie zaś, wracający z podróży po Europie, mają prawo bez oclenia wwozić do Stanów przedmioty, których łączna wartość nie przekracza stu dolarów; resztę lojalnie poddają ocleniu.

W otoczeniu przyjaciół i znajomych stawiam pierwsze kroki na ziemi amerykańskiej. Szybko mijamy samochodem miasteczko Hoboken i wpadamy w serce Nowego Jorku — Manhattan.

## PIERWSZY WIECZÓR W NOWYM JORKU.

O Nowym Jorku napisano setki książek i reportaży. Już na podstawie literatury można stworzyć sobie obraz tego wielomilionowego miasta, które rozłożyło się nad brzegami Atlantyku potężnymi budowlami i gęstą siecią gwarnych, tętniących ulic. A jednak, gdym przybył do Nowego Jorku, zdawało mi się, że — odkryłem Amerykę. Rzeczywistość bowiem przeczy wszelkim wyimaginowanym obrazom.

Nowy Jork, jak sobie wyobrażałem — to tylko szare, wyniosłe drapacze chmur, przytłaczające człowieka wielkością i ciężarem, czyniąc zeń drobną, niezaradną istotę, zagubioną w królestwie betonu i stali. Już pierwszy wieczór rozwiał te przypuszczenia i przekonał mnie, jak fałszywe było moje dotychczasowe wyobrażenie o tym mieście. Domy są istotnie potężne, ale każdy „building" ma własny styl, odrębne oblicze architektoniczne, budzące podziw u ludzi przybyłych po raz pierwszy z dalekiej Europy. Przyglądam się

niebosiężnym „drapaczom“ i nie przeżywam wcale kompleksu — małowartościowości. Nie czuję się zgubionym, a ciężar nowoczesnej wieży Babel nie przytłacza mnie wcale. Czuję w sobie natomiast rosnącą dumę i podziw dla potęgi ludzkiego ducha, który wspina się ustawicznie ku nowym szczytom, kierowany odwiecznym prawem rozwoju.

Jest godzina wpół do dziewiątej wieczorem. Znajduję się w centrum Nowego Jorku — na Broadway'u, obok „Times Square“. Oślepiają mnie reklamy świetlne, płynące wielobarwną, jasną falą. Pytam znajomych, czy dzisiaj jest jakieś święto. Dowiaduję się, że co wieczór dwadzieścia tysięcy lamp płonie nad Broadway'em. Siła światła sięga dwudziestu pięciu milionów świec. Przyglądam się poszczególnym iluminacjom. „Times“ podaje najświeższe wiadomości z Ameryki i Europy, firma Chesterfield chwali jakość i cenę swoich papierosów, teatry i kina przyciągają barwnym neonem tłumy ludzi, witryny olbrzymich magazynów konfekcji damskiej, rzęsiście oświetlone, reklamują najdroższe toalety i stroje. Światła są różnokolorowe: białe, czerwone, żółte i niebieskie. Nieruchome i ruchome, trwałe i gasnące co pewien czas w rytmicznych odstępach. Neon zalewa domy i chodniki. Nieprzebrane tłumy przelewają się po ulicach.

Mieszkańcy Nowego Jorku spieszą do kin, teatrów i kabaretów. Restauracje wypełnione są po brzegi. Wielu zdąża na odczyt lub wiec, gdzie przemawiać będą nowojorscy mistrzowie sztuki oratorskiej.

Opodal „Times Square'u" znaczna grupa ludzi przysłuchuje się pilnie wywodom pewnego pana w średnim wieku, stojącego na krześle pośrodku otaczających go słuchaczy. Z ust mówcy padają raz po raz cierpkie słowa przeciwko Rooseveltowi. Prezydent, zdaniem jego, doprowadza do ruiny Stany Zjednoczone i aby ratować prestiż Ameryki, wzywa mówca do energicznej walki przeciwko Rooseveltowi. Wartki tok jego wymowy przerywają głośne okrzyki protestu: Agent kapitału! Faszysta! Zdrajca! Nie detonuje to jednak oratora. Ze zdwojoną energią kontynuuje płomienną krytykę polityki i systemu Roosevelta. Policjant, stojący w pobliżu, nie przeszkadza mówcy. Od czasu do czasu pojawia się na jego twarzy pobłażliwy i dobrotliwy uśmiech.

W odległości kilkudziesięciu kroków od „przeciwnika Roosevelta" stoi druga grupa ludzi i przysłuchuje się innej prelekcji. Tutaj przemawia komunista, który pragnie obalić istniejący ustrój. Trochę dalej trzeci mówca, głoszący powstanie nowej sekty religijnej, znajduje również swoich zwolenników.

Podobnych mówców i agitatorów, nawołujących do walki z panującym porządkiem, spotykamy w Nowym Jorku wszędzie. Widzimy ich nawet na Wall-Street, — a więc w samej twierdzy kapitalizmu — gdzie znajdują się największe na świecie banki i giełda. Charakterystyczne przy tym jest to, że każdy agitator przemawiając trzyma w ręku amerykańską chorągiewkę z gwiazdkami. W Ameryce można wszystkich i wszystko krytykować, ale jednej rzeczy szargać nie wolno — sztandaru Stanów Zjednoczonych, „The Banner of U. S. A.".

Jestem znużony hałasem i zawrotnym tempem Broadway'u. W głowie szumi od najrozmaitszych świetlnych reklam. Kontrast między monotonnym życiem na statku, a gwarnym bulwarem nowojorskim, jest zbyt silny, by nie wywołać w pierwszej chwili bólu głowy i znużenia.

Znajomi prowadzą mnie do żydowskiej restauracji. Jadłodajnie żydowskie cieszą się w Nowym Jorku wielkim powodzeniem nawet u rodowitych Jankesów. W restauracji jest pełno ludzi. Wszyscy jednak zgromadzili się dokoła aparatu radiowego i przysłuchują się jakiemuś komunikatowi. Informują mnie, że właśnie w tej chwili odbywa się tak dawno oczekiwany i wielce sensacyjny mecz bokserski między mistrzem świata Maksem Baerem, a murzynem Louisem. „Tylko" dziewięć-

dziesiąt pięć tysięcy ludzi mogło otrzymać bilety i przyglądać się wielkiej rozgrywce. Reszta obywateli, zarówno z Nowego Jorku, jak i z pozostałych czterdziestu ośmiu Stanów, musiała zadowolić się aparatami radiowymi. Najmocniejsze stacje amerykańskie transmitowały na cały świat szczegółowy przebieg meczu.

Mnie osobiście nie fascynował ani przebieg meczu, ani jego wynik. Z ciekawością natomiast przypatrywałem się rozpłomienionym twarzom gości restauracyjnych, dla których mecz ten był niewątpliwie doniosłym przeżyciem. Prócz dwóch kelnerów-komunistów, wszyscy byli za zwycięstwem Baera. Przede wszystkim — Baer nie jest murzynem. Podrugie — nosi na koszulce wyszytą tarczę Dawida. Nie udało mi się stwierdzić, czy Baer jest rzeczywiście stuprocentowym Żydem, czy też ma tylko ojca Żyda. Faktem jednak jest, że w jego żyłach płynie żydowska krew. Nic zatem dziwnego, że większość obecnych była raczej po jego stronie.

Walka trwała zaledwie dziesięć minut. Ale już przy pierwszym spotkaniu szanse Baera były daleko słabsze. Fanatyczni jego zwolennicy nie upadali na duchu i zakładali się o olbrzymie sumy co do wyniku meczu. Napięcie wzrastało z każdą chwilą i doszło do punktu kulminacyj-

nego, gdy przez głośnik padły ciężkie słowa o zwycięstwie murzyna Louisa.

Przy sposobności podam kilka charakterystycznych szczegółów o tej imprezie. Normalna cena biletu wynosiła dwadzieścia pięć dolarów. Sprytni i przewidujący przekupnie zarezerwowali dla siebie wielką ilość miejsc i na krótko przed meczem podbili cenę biletu do stu pięćdziesięciu dolarów. Dochód z meczu był olbrzymi. Wyniósł przeszło milion dolarów. Za dziesięciominutową walkę otrzymał czarny zwycięsca dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, Maks Baer zaś — dwieście tysięcy. A teraz szczegół najciekawszy. Na dwie godziny przed meczem ożenił się Louis z mulatką. Po zasłużonym zwycięstwie zajechał wraz ze swą młodą małżonką wytworną — oczywiście! — limuzyną do jednego z nowojorskich hotelów. Nikt mu jednak nie chciał odnająć pokoju, ponieważ — był murzynem. Musiał zatem zwycięski Louis wraz ze swą mulatką pojechać do Haarlemu, dzielnicy murzyńskiej.

Z jednej więc strony nieograniczona swoboda, pozwalająca każdemu wypowiedzieć śmiało swe poglądy i uczucia, z drugiej zaś dzika nienawiść do ludzi obcej rasy, których Bóg obdarzył innym kolorem skóry.

Ale wracajmy do naszego obiadu w restauracji — który mi znakomicie smakował. Złożyły się

nań swojskie, domowe potrawy, jakie zwykliśmy konsumować w naszych polskich jadłodajniach.

W Ameryce rozpoczyna się każdy posiłek od — wody. Woda jest tu bardzo smaczna i lekarze nowojorscy polecają każdemu obywatelowi od siedmiu do ośmiu szklanek dziennie. Kelner podaje wodę i czuwa nad tym, by szklanka zawsze była pełna. Po wodzie otrzymałem porcję soczystych owoców, które w Ameryce są artykułem pierwszej potrzeby. Po tych wstępnych „daniach" następuje dopiero właściwy obiad, uwieńczony pod koniec białą kawą. Herbaty Amerykanie nie piją. Zamówioną herbatę natychmiast odesłałem z powrotem, gdyż przyniesiono mi jakiś niesmaczny i chłodny płyn.

Zasadę picia wody i jedzenia owoców przyswoiłem sobie zaraz pierwszego dnia. Nazajutrz mogłem już o własnych siłach skonsumować breakfast w tutejszej restauracji, ściśle według amerykańskiej recepty.

Przekonałem się również niebawem, jak bardzo uprzejmi i gościnni są Amerykanie. Znajomi zapłacili za mój obiad, a skoro próbowałem protestować, oburzyli się na mnie:

— Cóż znowu, przecież pan jest naszym gościem. Pan przybył z dalekiej Europy!

Tę gościnność serdeczną, niekłamaną, spotykałem w czasie mej podróży na każdym kroku.

Zdarzało się, że ludzie zupełnie obcy, z którymi zamieniłem zaledwie kilka słów, płacili za fryzjera, u którego się strzygłem lub goliłem. Na nic się zdały moje wywody, że według naszych pojęć jest to poprostu obrazą. Jankes ma na to jedną odpowiedź: prawo gościnności. Ten sympatyczny rys charakteru Amerykanina był najmniej uwydatniony we wszystkich reportażach o Ameryce.

Około jedenastej opuściłem restaurację. Znajomi zaproponowali przejażdżkę samochodem. Auto nasze zatrzymywało się dość często. Nigdzie jednak nie spostrzegłem policjanta, regulującego ruch uliczny. Zwrócono moją uwagę na liczne lampki elektryczne, zainstalowane na wszystkich rogach ulic. Gdy zapalają się czerwone — ustaje natychmiast wszelki ruch automobilowy, gdy niebieskie — jedziemy dalej. Dzięki mechanicznej instalacji, kierującej ruchem ulicznym, trudno w Nowym Jorku o wypadek automobilowy. Cierpi jednak na tym szybkość jazdy. Daleko wygodniej jest podróżować po Nowym Jorku koleją podziemną.

Wjeżdżamy w najbogatszą ulicę Fifth Avenue, zamieszkaną wyłącznie przez milionerów amerykańskich. Spoglądam na wspaniały Empire-State-Building, będący najwyższym budynkiem na świecie, na Radio-City z ogromnym teatrem i music hallem, czynnym bez przerwy od rana do póź-

nej nocy. Mijamy wytworne pałace milionerów vis à vis Central-Parku. Milionerzy znaleźli dla siebie nawet w Nowym Jorku ciche i wygodne ustronie, na marginesie gwarnych bulwarów i kipiących ulic. Jest tutaj dużo wolnej przestrzeni, zielonych trawników i ogrodów. Prywatne mieszkania milionerów mieszczą się nie w drapaczach chmur, lecz w pałacach, nie przewyższających swą wysokością naszych normalnych domów w Europie. Są jednak wytworniejsze i olśniewają bogactwem nawet na zewnątrz.

Okna pałaców są teraz ciemne. Mieszkańcy Fifth Avenue bawią się w wytwornych lokalach Nowego Jorku, lub spędzają czas w Kalifornii, czy też w dalekich stolicach europejskich.

Było już późno po północy, gdy wróciłem do domu. Dom, w którym wynająłem dla siebie pokój, miał tylko cztery piętra. Mieszkałem na pierwszym.

Nowy Jork, to nietylko potężne drapacze. Obywatel Nowego Jorku chętniej mieszka w zwykłym domu, niż w ogromnych i wyniosłych blokach. Jest mu tutaj przyjemniej i wygodniej.

## NA GIEŁDZIE NOWOJORSKIEJ.

Na pierwszy rzut oka Nowy Jork przedstawia dla turysty tajemniczy i zawiły szyfr, trudny do odcyfrowania. W rzeczywistości jednak łatwiej zorientować się w Nowym Jorku, aniżeli w Londynie lub Paryżu. Bulwary bowiem opatrzone są kolejnymi numerami lub noszą specjalne nazwy: Broadway, Park Avenue, Amsterdam Avenue, i t. p. Szerokie bulwary przecinają ulice, znaczone również numerami względnie nazwami. Plan miasta nie jest zatem wcale skomplikowany.

Przybysz musi przede wszystkim poznać sposób racjonalnego podróżowania po Nowym Jorku. Najwygodniej oczywiście — taksówką. Szofer trafi wszędzie. Lecz jazda taksówką jest stosunkowo droga. Z portu Hoboken do centrum miasta zapłaciłem sześć i pół dolara. Za taką sumę można w Polsce odbyć podróż z Warszawy do Stanisławowa. Poza tym jazda autem trwa zbyt długo. Obywatel nowojorski, dla którego każda chwila jest cenna, jedzie niemal wyłącznie koleją pod-

ziemną — subwayem. Istnieje również w Nowym Jorku kolej nadziemna, zwana elevated-ralway, która biegnie po mostach, rozpiętych nad bulwarami. Powoli jednak usuwa się ten środek komunikacji, ponieważ mosty szpecą widok bulwarów, a elevateds napełniają dymem i hałasem i tak już zbyt gwarne ulice Nowego Jorku. Istnieją również autobusy, a nawet tramwaje. Po Nowym Jorku krąży dowcip, że tramwajem jadą wyłącznie te matrony, które nie mają się do kogo spieszyć i do których nikt się zbytnio nie kwapi...

Najwygodniejszą zatem komunikacją jest subway. Co dwie minuty — pociąg. Otrzymanie biletu nie jest związane z żadnymi trudnościami, ani ze stratą czasu. Wrzucasz do automatu pięć centów i automatycznie rozwierają się drzwi, prowadzące na peron. Drzwi wagonów otwierają się również w sposób automatyczny. Zbyteczny jest tutaj personel służbowy. Wyjątkiem jest jedyny urzędnik przy kasie, milczący zresztą i wykonywujący swe funkcje mechanicznie. Nie sprzedaje on biletów, lecz wymienia grubsze monety na pięciocentówki.

Pociągi dzielą się na ekspresy, zatrzymujące się na każdej trzydziestej ulicy, i na zwykłe, zwane „local", które przystają na każdej szóstej. Można z precyzyjną dokładnością wyliczyć, kiedy przybędzie się na umówione miejsce. Dzięki temu oby-

watel nowojorski przybywa na „appointment“, czyli na amerykańską rendez-vous, z zadziwiającą punktualnością.

Po cierpliwym wysłuchaniu „wykładu“ znajomego o komunikacji nowojorskiej, udałem się na najbliższą stację subway‘u.

Dokąd pojechać?

Po chwiil namysłu wybrałem Wall Street. Była godzina jedenasta rano i o tej porze panuje tam niewątpliwie największe ożywienie. Muszę przyznać, że inaczej wyobrażałem sobie ulicę, gdzie koncentrują się największe kapitały całego niemal świata. Wall Street jest małą i wąską ulicą, a wysokie, strzeliste domy podkreślają jeszcze bardziej ciasnotę jezdni i chodników.

Chcę wejść do gmachu giełdy. Wejście zatarasowała grupa ludzi, przysłuchująca się przemówieniu pewnego komunisty. Odkrywał on przed słuchaczami zakulisową politykę giełdy nowojorskiej i nazwał ją... największym bluffem kapitalizmu. Czekam, aż mówca skończy i tłum się rozejdzie. Widzę jednak, że jacyś jegomoście przedzierają się bezceremonialnie, torując sobie drogę łokciami i pięściami. W pierwszej chwili zdziwił mnie ten objaw braku kultury i wychowania. Ale w miarę, jak zżywałem się z atmosferą amerykańską, przyzwyczaiłem się do tego powoli i doszedłem nawet do wniosku, że bez owych

silnych pięści i ramion, trudno w Nowym Jorku dopiąć czegoś.

Skorzystałem z chwili, kiedy znów dwaj energiczni panowie przepchnęli się, i z nimi razem wszedłem do gmachu giełdy. W sekretariacie oznajmiono mi dość chłodno, że obcy ludzie nie mają prawa wstępu na teren giełdy. Gdy przedstawiłem się głównemu sekretarzowi i pokazałem legitymację prasową — natychmiast przydzielono mi odpowiedzialnego urzędnika z poleceniem oprowadzenia mnie po giełdzie i udzielenia możliwie najbardziej wyczerpujących informacyj.

Rozgrywce giełdowej przyglądałem się z trybuny pierwszego piętra. Na przeciwległej ścianie, znaczonej setkami numerów, zapalały się co chwila najrozmaitsze światełka i płomyki. Mój przewodnik wyjaśnia, że zapomocą tej sygnalizacji świetlnej wzywa się pośredników giełdowych, maklerów, zwanych tutaj stock-brokers. Pod koniec wieku dziewiętnastego było ich nie więcej, jak dziewięciu. Dziś wzrosła ich liczba do przeszło tysiąca.

Tranzakcje giełdy nowojorskiej dotyczą wyłącznie najpewniejszych akcyj. Ilość notowanych na giełdzie akcyj nie przekracza tysiąca czterystu. Jest to śmiesznie mało w porównaniu z pół milionem towarzystw w Ameryce, wypuszczających na rynek akcje. Obrót jednak tych tysiąca

czterystu rodzajów papierów wynosi 85% całego obrotu akcyjnego Stanów Zjednoczonych. W czasach „prosperity“ dzienny obrót giełdy nowojorskiej sięgał sześciu milionów dolarów. W dobie kryzysu obrót zmniejszył się znacznie, a dziś milion dolarów obrotu dziennego należy również do rzadkości.

Hazard giełdowy rozpoczął się w roku 1916, kiedy fabryki amunicji otrzymywały olbrzymie zamówienia, a ich akcje szły bez przerwy w górę. Po wojnie poczęły zwyżkować papiery państwowe. Giełda stawała się źródłem wielkich zarobków; starczyło kupić jakąkolwiek akcję, by ją nazajutrz sprzedać z olbrzymim zyskiem. Ludzie, którzy prowadzili skromne przedsiębiorstwa, dzięki szczęśliwej grze giełdowej, stawali się w szybkim czasie milionerami. Kryzys i krach giełdowy położył kres wszelkim machinacjom i spekulacjom. Nowopowstali milionerzy w ciągu jednej nocy stracili wszystko. Akcje, za które płacono po dwieście dolarów, miały później wartość kilku zaledwie centów. Akcje najsolidniejszych nawet firm nie mogły utrzymać się na poprzedniej wysokości i spadły katastrofalnie wywołując popłoch i rujnując olbrzymie fortuny. Za akcje fabryki samochodów Chrysler‘a płacono dawniej po dwieście dolarów. Ich cena spadła do dwudziestu ośmiu dolarów. Obecnie daje się zauwa-

żyć pewien wzrost ich kursu, ale o powrocie do dawnej wysokości nie może być mowy.

Przyczyną kryzysu w Ameryce nie były straty, ponoszone przez przedsiębiorstwa i fabryki. Prosperowały bowiem dobrze i dawały duże dochody. Zasadniczą przyczyną kryzysu był ów ślepy, gorączkowy pęd za lekkim zarobkiem i gwałtowna, nieprzeparta chęć wzbogacenia się na giełdzie. Majątki tracono na giełdzie oraz przy dzikiej, nieobliczalnej spekulacji domami, która kwitła w czasach dobrej koniunktury.

Nie spotkałem w Nowym Jorku człowieka, któryby nie grał kiedyś na giełdzie. Przedsiębiorca, kupiec, lekarz, adwokat, aktor, dziennikarz, a nawet robotnik, ciężko uciułane dolary zanosił na giełdę. Wszystkich ogarnęła psychoza gry i nęciła perspektywa szybkiego wzbogacenia się. Namiętność ta pozostała jeszcze u wielu i mimo niezbyt dobrych perspektyw grają dalej. Oczywiście ostrożniej i racjonalniej, ale grają.

Tranzakcje giełdowe zostają zrealizowane w bardzo szybkim tempie. W ciągu sześciu, najwyżej siedmiu minut dochodzi do skutku umowa między Nowym Jorkiem a Paryżem. Popołudniu idą na cały świat komunikaty o stanie kursów.

Było około dwunastej w południe, gdy opuściłem gmach giełdy. O tej porze wszyscy spożywają tutaj śniadanie. Nie można jednak tracić dużo

czasu na posiłek. Większość spożywa lunch w coffeterii, gdzie gość sam siebie, bez pomocy kelnera usługuje. Przy wejściu wyciąga się z automatu kartkę, którą należy przed opuszczeniem restauracji okazać. Następnie gość sam bierze drewnianą tacę, kładzie na niej nóż, widelec, łyżkę, serwetki i z tym idzie do bufetu, gdzie stoją gotowe potrawy. Kelner nakłada wymienione przez gościa dania i dziurawi kartkę na odpowiednią ilość centów. Obładowany tacą z dymiącymi zakąskami, siadasz do stolika. Przed opuszczeniem restauracji regulujesz przy kasie rachunek. Reszta wyskakuje z automatycznej kasy. Z początku wydawał mi się śmieszny ów spacer po restauracji z tacą, nakryciem i serwetkami. Nabrałem jednak później szacunku dla ludzi, którzy tak subtelnie wyczuwają przemijanie czasu i dla których „time is money“.

## EAST-SIDE — SERCE ŻYDOWSKIEGO NOWEGO JORKU.

Dwa miliony Żydów mieszka w Nowym Jorku. Nie tworzą oni wielkich skupisk, lecz rozproszeni są po całym terenie olbrzymiego miasta. Trudno zatem określić, gdzie znajduje się właściwa dzielnica żydowska. Wielu Żydów mieszka w Brooklynie, ściślej mówiąc w dzielnicy Bronzwill, która przypomina nasze poczciwe miasteczka polskie i litewskie. Inteligencja żydowska znalazła dla siebie zaciszny Bronx, a bogaci Żydzi zajmują wytworne apartamenty na Westend Avenue, gdzie czynsz mieszkaniowy wynosi kilka tysięcy dolarów rocznie.

A jednak istnieje w Nowym Jorku dzielnica żydowska. Znajduje się ona po wschodniej stronie wyspy Manhattan, a więc w głównej części Nowego Jorku, zwanej City. Tam właśnie, na East-Side, skoncentrował się handel żydowski. Przybyszowi rzucają się w oczy olbrzymie sklepy z konfekcją damską i męską oraz liczne ma-

gazyny gotowych ubiorów. Ta gałęź wytwórczości znajduje się wyłącznie w rękach żydowskich. W czasie depresji ekonomicznej, obecnie zwolna przemijającej, silne ciosy kryzysu nie oszczędziły i tej branży.

Na East-Side znajduje się również charakterystyczna Orchard-Street. Wzdłuż obu chodników stoją rzędami stragany. Właściciele ich łamaną angielszczyzną przywołują klientów. Sprzedaje się tutaj wszystko począwszy od cytryn i sznurowadeł, a skończywszy na maszynach do szycia. Jednej tylko rzeczy nie dostaniesz na Orchard-Street: samochodu. Ulica bowiem jest zbyt wąska i uniemożliwia handel automobilami. Wszelkie natomiast śruby i akcesoria samochodowe otrzymasz na Orchard-Street taniej, aniżeli w specjalnych składach i magazynach.

W Nowym Jorku nie ma ograniczenia godzin handlu. Handlarz z Orchard-Street, jeżeli go tylko nie przepędzi gwałtowny deszcz lub zimno, może stać przy swym straganie do późnej nocy, a nawet całą dobę. Istnieją w Nowym Jorku sklepy otwarte przez dwadzieścia cztery godziny bez przerwy nie mówiąc już o restauracjach lub barach.

Orchard-Street przypomina nasz Kercelak w Warszawie. Lecz nasi handlarze uliczni, wynędzniali i biedni, obciążeni balastem podatków, ni-

szczeni i rujnowani przez konkurencję i bojkot, prowadzą tryb życia, będący raczej nędzną, smutną wegetacją zawsze zgonionych i zziajanych ludzi. Handlarz nowojorski natomiast żyje sobie zupełnie dobrze. Pracuje coprawda ciężko, ale wieczorem przynosi do domu sporo zarobionych dolarów. Jankesi chętnie kupują na Orchard-Street, gdyż wszystko tutaj jest tańsze. Jeżeli sklepy na Broadwayu, lub w innych dzielnicach miasta, obliczone są na wielkie zyski, przeważnie 50-procentowe, handlarz z Orchard-Street zadowala się zarobkiem daleko mniejszym.

Na East-Brodway, najpopularniejszej ulicy żydowskiej, zauważyłem księgarnie. W witrynie leżały najrozmaitsze modlitewniki, pięcioksięgi Mojżesza, pętlice, filakterie, tałesy oraz... portret Stalina. Dowiaduję się, że właścicielem tej osobliwej księgarni jest niejaki Jankiewicz, z przekonań i poglądów anarchista. Księgarni nie zamyka w Nowy-Rok, ani w Sądny Dzień. Interes — jego zdaniem — nie ma nic wspólnego z istotnymi przekonaniami człowieka. Jeżeli więc modlitewniki, filakterie i pętlice znajdują nabywców, można je sprzedawać wraz z literaturą komunistyczną i portretami Lenina i Stalina.

Second Avenue jest najbardziej arystokratyczną dzielnicą East-Side'u. Bulwar ten szeroki i ja-

sny, przezwano żydowskim Broadwayem. Na Second Avenue znajdują się wszystkie niemal teatry żydowskie, kina, kabarety, burleski, restauracje i t. p. Second Avenue nie posiada coprawda tyle barwnych reklam świetlnych i iluminacyj, ile widziałem na Broadwayu. Jest tutaj jednak nie mniej światła, niż na bulwarach Paryża. Każdy teatr ma swoich gwiazdorów, którymi się szczyci. Z reklam i afiszów spoglądają ulubieńcy publiczności: Goldsztajn, Goldinburg, Skulnik, Jacobsonowie, Michalesco, Lebediew, Rubin, Bursztin, Feld i wielu innych. Dziewięć teatrów żydowskich rozpoczęło w tym roku sezon teatralny w Nowym Jorku, nie licząc robotniczego teatru „Artef“. Jest to niewątpliwie zbyt wielka liczba w stosunku do konsumentów żydowskiej sztuki teatralnej. W czasie jednak świąt wszystkie miejsca w teatrach były wysprzedane. Dopiero po świętach ustala się, jakie teatry pozostają na cały sezon, a jakie zamknąć muszą swe podwoje.

Wieczór spędzam w kabarecie „Rumuńska Wieś“, należącym do Borysa Tomaszewskiego. Skąd ta nazwa kabaretu żydowsko-amerykańskiego? Pozostanie to tajemnicą jego właściciela. Zaangażował on do swego kabaretu dorodne aryjskie tancerki. Aktorami są sami Żydzi. Na początku odśpiewano kilka angielskich piosenek. W dalszej części repertuaru recytowano już wyłącznie

żydowskie monologi i pieśni. Głównym motywem wszystkich niemal sentymentalnych piosenek żydowskich była tęsknota za porzuconym ongi domem rodzinnym. Spod przemożnego wpływu tej tematyki nie mogą się do tej pory wyzwolić teatry i kabarety żydowskie w Ameryce, chociaż emigracja dawno ustała. Tych „ludzi interesu“ ogarnia na wspomnienie kraju rodzinnego, w którym spędzili swą młodość, silna tęsknota i nostalgia. Tomaszewski zaprasza mnie do swego stolika i zwierza się przede mną z ostatniego, najnowszego pomysłu. W Ameryce panuje w ostatnich latach wielkie bezrobocie wśród aktorów żydowskich. Tomaszewski zwrócił się zatem do magistratu nowojorskiego z propozycją założenia trupy wędrownej celem zatrudnienia pewnej liczby bezrobotnych. Kalkulacja była nader prosta: bezrobotny otrzymuje piętnaście dolarów tygodniowo tytułem zapomogi. Za dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo bezrobotny aktor zaangażuje się i w ten sposób zorganizowana zostanie pożyteczna placówka kulturalna. Tomaszewski zebrał trupę, złożoną z dwudziestu pięciu osób i wystawił sztukę Gordina „Żydowski król Lear“. W słusznym przewidywaniu, że ilość miast, gdzie będzie mógł grać tę sztukę w języku żydowskim, jest ograniczona, Tomaszewski wyreżyserował ją także w języku angielskim, korzystając z okoliczno-

ści, że wszyscy jego aktorzy dobrze znają ten język. Przedstawienie cieszyło się wielkim powodzeniem. Urządzano specjalne widowiska dla bezrobotnych, młodzieży szkolnej i instytucyj dobroczynnych. W ostatnim czasie wędruje Tomaszewski ze swą trupą po klasztorach i „Żydowski Król Lear“ w adaptacji angielskiej spotyka się z niemniejszym aplauzem wśród bogobojnych mnichów. Należy przy tym wspomnieć o pikantnym szczególe: Tomaszewski, pragnąc w tej sztuce zatrudnić jaknajwiększą ilość bezrobotnych, dorobił samodzielnie, zdany na własną fantazję, kilka dodatkowych postaci...

Nowy pomysł Tomaszewskiego, o założeniu jeszcze jednej trupy teatralnej uzyskał już podobno aprobatę nowojorskich władz municypalnych. Tyle o filantropijnej działalności Tomaszewskiego. Poza filantropią trzeba przecież pomyśleć i o sobie. Założył więc „Rumuńską Wieś“, która przynosi mu znaczne dochody.

Jest już bardzo późna godzina i pragnę opuścić kabaret. Sympatyczny Borys nie pozwala mi jednak odejść. Prowadzi ze mną długą, serdeczną pogawędkę. W lokalu pozostało jeszcze wiele gości. Przysiągłbym, że niejednego z nich widziałem już dzisiaj przed południem na Orchard Street. Dziś jest właśnie sobota i przyszli do kabaretu spędzić beztrosko wieczór. Przy bufecie

wychylają lampki wina i kufle piwą. Nie spostrzegłem jednak pijanych. Prohibicja wywarła na społeczeństwie żydowskim w Ameryce błogosławiony wpływ. Chociaż Żydzi nigdy za dużo nie pili, to przecież przez czas trwania zakazu alkoholowego odzwyczaili się zupełnie od kieliszka.

W innych miastach Stanów Zjednoczonych spostrzegłem również silną abstynencję Żydów od alkoholu. Od czasu do czasu wstępowałem „na jednego“ do najrozmaitszych barów, gdzie gromadzili się Włosi, Irlandczycy, Rosjanie i t. p. Panowała tam atmosfera niechlujnego pijaństwa. Z prawdziwym zadowoleniem wspominałem kabaret Tomaszewskiego, w którym goście pokrzepiają się sznyclem lub zakąską, a przy szklance piwa lub wina słuchają tęsknych pieśni o radościach i smutkach w dalekim, besarabskim miasteczku.

## BANK, APTEKA, WYCHOWANIE.

Wall-Street jest małą i wąską ulicą. Znajdują się tu jednak największe na świecie banki i potężna giełda nowojorska. W „Irving Trust Company“ spędziłem kilka godzin. Nie starałem się wcale wniknąć w tajemnice najrozmaitszych spekulacyj, jakie bank ten przeprowadza. Interesował mnie raczej sam gmach, będący zresztą jednym z najpotężniejszych bloków na świecie. Banki, biura, magazyny i przedsiębiorstwa handlowe w tym gmachu, urządzone są z wielkim komfortem i przepychem. Drogocenne dywany, piękne obrazy i malowidła zdobią wszystkie ściany. Gmach zakończony jest u góry charakterystyczną dla wszystkich wyższych budowli w Ameryce wieżyczką. Wieczorem wieżyczki te oświetlone są jasnymi reflektorami. Płonące wieżyczki nadają miastu niezwykle mistyczny wygląd. Człowiek ulega złudzeniu, że znajduje się w jakimś egzotycznym mieście z mnóstwem wysmukłych, strzelistych minaretów.

Zwiedzam Building Chrysler'a. Winda zawozi mnie na czterdzieste ósme piętro. We wspaniałych salonach konferencyjnych dyrektorzy banków spożywają właśnie lunch. Inżynier, zarządzający instalacją wodociągową, prowadzi mnie do piwnic. Stoją tu olbrzymie maszyny elektryczne, ogrzewające olbrzymi gmach i destylujące jednocześnie wodę, czerpaną z rzeki Hudson. Inżynier zaznajamia mnie z tak zwanym tu powszechnie Cold-System'em. Jest to najnowszy wynalazek, ostatnia zdobycz techniki, umożliwiająca ochładzanie mieszkań w czasie upałów: Cold-System zostaje wprowadzony do wszystkich nowowybudowanych bloków amerykańskich. Dzięki temu wynalazkowi, w zamkniętych lokalach, nawet szczelnie zapełnionych ludźmi, jest latem chłodnie i przyjemnie. Ludzie z ulic i bulwarów nowojorskich, rozpalonych od słońca i całodziennego skwaru, uciekają do kin, teatrów i kabaretów, gdzie Cold-system jest już zastosowany.

Opuszczam Wall-Street, twierdzę kapitalizmu, i zwiedzam dzielnicę, w której znajdują się największe na świecie biura linij żeglugowych. Na Pearl-Street, w biurach linii Gdynia — Ameryka. panowało wielkie ożywienie. Prasa nowojorska uroczyście powitała „Piłsudskiego". Wielu obywateli amerykańskich przybyło do biura po informacje w sprawie warunków podróży polskim

transatlantyckiem. Ścisk i tłok panował również w biurze „French Line". Tego bowiem dnia przybył do Nowego Jorku olbrzymi okręt „Normandie" i setki ludzi kupowało bilety wstępu celem obejrzenia luksusowych wnętrz wspaniałego kolosa. Pustkami natomiast świeciły biura linii żeglugowej Hamburg—Ameryka. Mimo komfortowych urządzeń i stosunkowo dosyć niskiej ceny niemieckie okręty „Europa" i „Bremen" odchodziły z portu nowojorskiego prawie puste. Żyd nie pojedzie niemieckim okrętem, nawet gdyby mu zaofiarowano bezpłatne miejsce w luksusowej kabinie. Rodowity Amerykanin unika również niemieckich środków komunikacyjnych. Prasa bowiem nowojorska donosi obiektywnie o wszystkich eksperymentach rasistowskich, dokonywanych w Trzeciej Rzeszy. Budzą one ostrą, zdecydowaną reakcję w demokratycznym obywatelu Stanów Zjednoczonych. Biura włoskich linij żeglugowych były również tego dnia zapełnione ludźmi. Interesanci przybyli nie poto, by wykupić karty okrętowe, lecz w celu wręcz przeciwnym — by je zwrócić i odebrać pieniądze. Prezydent Roosevelt wydał bowiem Message (odezwę) do społeczeństwa, odradzającą obywatelom amerykańskim podróżowania włoskimi okrętami, gdyż w związku z wojną włosko-abisyńską mogą one zostać zaatakowane przez wrogie żywioły. W biu-

rze włoskim spotkałem grupę chaluców, odjeżdżających do Palestyny. Wycofali swe papiery i zamiast linią Lloyd-Triestino, postanowili jechać polskimi okrętami: „Piłsudskim“ i „Polonią“.

Nawiązałem rozmowę z chaculami. Była to grupa inteligentnych dziewcząt i chłopców, posiadających średnie, a nawet wyższe wykształcenie. Wszyscy przebyli „hachszarę“ (kurs przygotowawczy). Dowiaduję się od nich, że Stany Zjednoczone otrzymały w roku bieżącym nie więcej, niż pięćdziesiąt certyfikatów. Chętnych do wyjazdu nie brak. Wielu zatem jedzie w charakterze kapitalistów. Jeden z chaluców zaprosił mnie do apteki na szklankę soku owocowego. Usadowiliśmy się na wysokich stołkach i za pięć centów wypiliśmy chłodny, orzeźwiający napój — sok z kalifornijskich pomarańczy.

Ludzie z Europy, przyzwyczajeni są raczej do tego, by apteka służyła wyłącznie chorym. W Ameryce natomiast drogs shop nie jest wcale tak ponurym przedsiębiorstwem. Można tutaj otrzymać najrozmaitsze artykuły galanteryjne, gorące, świeże zakąski, nie wyłączając napojów, słodyczy i papierosów. Sporządzanie lekarstw należy w aptece amerykańskiej do zajęć ubocznych. Gdyby właściciel musiał wyłącznie żyć z aptekarskiego zawodu, nie miałby nawet na pokrycie komornego. Apteki, spełniające jednocze-

śnie funkcje barów i restauracyj, znajdują się niemal wyłącznie w posiadaniu Żydów. Informował mnie o tym aptekarz, u którego zwykłem codziennie spożywać śniadanie. Gdy po raz pierwszy przyszedłem do jego apteki — murzyn, który mi usługiwał, nie mógł mnie w żaden sposób zrozumieć. Dopiero, gdy zjawił się sam właściciel, płynnym dialektem litewskim rozmówił się ze mną po żydowsku. Przypadkowo okazało się, że siostra tego aptekarza, również właścicielka apteki w małej mieścinie polskiej na kresach, kilka miesięcy temu była w Warszawie w mojej kancelarii celem zasięgnięcia porady prawnej. Przypadek ten zbliżył mnie bardzo do nowojorskiego aptekarza i odtąd sam właściciel, w białym fartuchu uważał za stosowne przyrządzać dla mnie co dzień rano jajecznicę.

Bary-apteki stanowią organiczną cześć pejzażu nowojorskiego i trudno wyobrazić sobie to miasto bez owych zacisznych restauracyj i dobrodusznych aptekarzy.

Apteka, w której piliśmy sok pomarańczowy, należała również do Żyda. Właściciel zajął miejsce obok nas i z ciekawością przysłuchiwał się rozmowie, jaką prowadziłem z chalucem w języku żydowskim. Od czasu do czasu zadawał sam pytania, dotyczące życia Żydów polskich; widać było, że te sprawy obchodzą go żywo.

W czasie rozmowy wpadł do sklepu zziajany chłopiec około lat dwunastu. Pod pachą trzymał plikę angielskich gazet. Chłopiec podbiegł do aptekarza i ucałował go w usta. Był to jego syn. Ojciec opowiada nam: — Synek mój codziennie po przyjściu ze szkoły i po godzinnym odpoczynku, wychodzi na miasto sprzedawać gazety. Chcę, by od najwcześniejszych lat życia wiedział czym jest pieniądz i jak należy go cenić. Będąc młodym, również pracowałem ciężko. Jako student byłem kelnerem w restauracji. Obowiązkiem moim jest przygotować go powoli do samodzielnego, niezależnego życia. Wam europejczykom taki system wychowania wydawać się może bardzo dziwny. My, amerykanie, uważamy takie wychowanie za najbardziej racjonalne. Opowiem wam coś jeszcze: syn oddaje mi część swoich zarobków w celu pokrycia kosztów utrzymania i wychowania. Nie trzeba mi jego pieniędzy. Odkładam te kilka nickels, które od niego codziennie otrzymuję, do specjalnej kasetki i z czasem zwrócę mu wszystko.

Spostrzegłem, że w pewnej chwili chłopiec zażądał od kelnera soku pomarańczowego. Wychylił duszkiem pełną szklankę i... zapłacił pięć centów. Pieniądze te powędrowały oczywiście do kasy ojca.

Opuściliśmy aptekę. Przez długi czas myśli me

absorbował ten dwunastoletni chłopiec zamożnego ojca, sprzedający gazety na ulicach nowojorskich. U nas ojciec taki uchodziłby powszechnie za wyrzutka. W Ameryce natomiast taką metodą wychowania ludzie się szczycą.

Która z tych metod jest bardziej racjonalna, nasza, czy ich?

Warto się nad tym zastanowić.

## KULTURA W DZIELNICY MILIONERÓW.

Przechadzając się rano po Fifth Avenue w pobliżu Central-Parku wszedłem do małej, lecz bardzo wytwornej restauracji. Była godzina wpół do jedenastej. Dzień, choć początek października, był skwarny, a znużony długą przechadzką po mieście pragnąłem odświeżyć się nieco owocowym sokiem. Mała sala restauracyjna była zapełniona wyłącznie przez przedstawicielki płci pięknej. Damy w przedobiednich, bogatych strojach, spożywały właśnie śniadanie. Były to niewątpliwie bardzo zamożne kobiety, skoro na każdej ręce lśniły drogie brylantowe pierścienie. Podawane tutaj jedzenia nie różniły się wcale od tych, jakie otrzymuje się we wszystkich demokratycznych coffeteriach. Tylko nakrycia były bogatsze. Podawano każde danie na pięknych porcelanowych talerzach, zdobionych srebrem.

Widocznym było, że znajduję się wśród society nowojorskich kobiet, wśród zamożnych pań z Fifth Avenue. Milionerki amerykańskie nie przeciwsta-

wiają się powszechnie przyjętemu zwyczajowi spożywania śniadań w restauracji, chociaż dostateczna liczba służby umożliwiłaby przyrządzenie w domu najsmaczniejszego breakfast. Tutaj, w restauracji, spotyka się wszystkich znajomych, tu można pokazać się w najelegantszych toaletach, stąd jest niedaleko do Central-Parku, gdzie wynająć można kucyka do przejażdżki, stąd jest kilka zaledwie kroków do wytwornych magazynów, gdzie panie z Fifth Avenue zakupują wszystko, co im serce podyktuje.

Mężczyzn, nawet najbogatszych, nie spotyka się o tej porze w restauracji. Pracują. Sami, osobiście pilnują swych interesów, sami, nie zdając się na czyjeś wyręczenie, zawierają wszelkie umowy i tranzakcje. Milioner amerykański nie polega zbytnio na swym pracowniku, może to być najbardziej oddany i przywiązany urzędnik. Wszystko podlega jego kontroli, nawet raporty zaufanych i wtajemniczonych dyrektorów.

Milioner amerykański zdaje sobie jednak doskonale sprawę, jak należy ułożyć sobie życie i w jaki sposób wyzyskać olbrzymie swe bogactwa. W godzinach jednak urzędowych, gdy biuro jest czynne, nie uznaje on żadnych rozrywek. Dopiero po zamknięciu biura dysponuje swobodnie swym czasem.

Tego dnia odwiedziłem głośnego milionera no-

wojorskiego. Był to znany w całej Ameryce przedsiębiorca filmowy. Biuro jego mieściło się w potężnym gmachu Radio-City. Blok ten, w którym znajduje się największy na świecie Music-Hall, wzniesiony został kilka lat temu. Przepychem swym i luksusem prześcignął wszystko, co dotąd widziano w Nowym Jorku. Nie ma zresztą się czemu dziwić. Radio-City wybudował Rockfeller, najbogatszy człowiek na świecie. Blok nosi nazwę „Rockfeller-Center". Jeszcze kilka lat temu stały na jego miejscu dość niskie domy. Wszystkie mniejsze budowle zostały zburzone, a na ich miejscu wyrosły olbrzymie gmachy, będące chlubą Fifth Avenue.

W biurze filmowym zastałem licznych interesantów, których załatwiali urzędnicy. Mnie skierowano odrazu do właściciela. O mojej wizycie był już sekretariat powiadomiony.

Milioner nie był w specjalnie dobrym humorze. Przed chwilą bowiem otrzymał telefon z Hollywood, że jeden z obrazów, nakręcanych w jego atelier — nie udał się. Winę za to ponosi reżyser. Artyści są bardzo niezadowoleni. Słowem — zmuszony jest osobiście pojechać do Hollywood. Nie ma coprawda powodu do zmartwień, gdyż wszystko da się jeszcze naprawić, trzeba jednak natychmiast opuścić Nowy Jork, na co mój milioner nie ma specjalnej ochoty. Sezon bowiem w branży

ilmowej rozpoczął się. Należy zakończyć liczne mowy i kontrakty, a na obcych ludzi tak trudno się zdać. Nie ma jednak innego wyjścia — trzeba lecieć do Hollywood.

Nagła konieczność wyjazdu nie przeszkodziła jednak milionerowi zaprosić mnie na lunch. Aby nie stracić dużo czasu, weszliśmy do pierwszej lepszej coffeterii, sami nałożyliśmy na drewnianą tacę sandwich, zasiedliśmy do stolika i popiliśmy kawę. W ciągu tych dziesięciu minut, jakie spędziłem w towarzystwie milionera, dowiedziałem się, że prawie cały przemysł filmowy znajduje się w rękach Żydów. Wszelkie ajentury filmowe są również w ich posiadaniu. Właścicielami wszystkich niemal kin są także Żydzi. Milioner wymienił sporo nazwisk słynnych obecnie aktorów filmowych, wywodzących się z nowojorskiego East-Side'u. Te dzieci ghetta żydowskiego w krótkim czasie osiągnęły w Hollywood zawrotne kariery.

Nie chcąc dłużej zająć swoją osobą milionera, pożegnałem go. Pozostała mi jeszcze do dyspozycji wolna godzina. Postanowiłem zwiedzić nowojorską Public Library, będącą jedną z największych bibliotek na świecie. Biblioteka mieści się w pobliżu Radio-City, u wylotu czterdziestej drugiej ulicy i Fifth Avenue. Przy wejściu do gmachu czuwają dwa nasrożone, kamienne lwy.

Tworzą one wyraźny kontrast ze spokojną atmosferą, panującą w bibliotece.

Zwracam się do sekretarza Library, aby mi przeznaczył przewodnika władającego językiem francuskim. Po chwili zjawił się wysoki, przystojny pan, o miłej powierzchowności. Przedstawił się. Nazwisko jego brzmiało zupełnie z rosyjska: Nikołajew. Okazało się, że był on dawniej oficerem. Ukończył akademię wojskową w dawnym Petersburgu, następnie był przez długie lata attaché wojskowym z ramienia cara w Waszyngtonie. Po rewolucji, nie mając innego zajęcia — został bibliotekarzem w nowojorskiej Public Library.

Zwiedzanie biblioteki rozpoczęliśmy od wydziału słowiańskiego, którym właśnie kierował Nikołajew. Na moją prośbę przeszliśmy następnie do wydziału semickiego. Wydziałem tym kieruje dr. Bloch, rodem z Polski. Znajduję tutaj niezwykle ciekawe i cenne egzemplarze starych dzieł hebrajskich, drukowanych w Amsterdamie, Paryżu i Wenecji jeszcze w piętnastym i szesnastym stuleciu. Reprezentowani są tutaj wszyscy niemal pisarze żydowscy. Doktór Bloch dba o to, aby w nowojorskiej Bibliotece Publicznej nie zabrakło żadnej książki żydowskiej.

Public Library liczy obecnie przeszło cztery mi-

liony tomów. Mój przewodnik oprowadza mnie po olbrzymich, jasnych salach, które pomieścić mogą około siedmiuset czytelników. Wszystkie prawie miejsca są zajęte. Spotykam na salach wielką ilość murzynów. Są to przeważnie studenci nowojorskiego uniwersytetu. Nikołajew opowiada, że największą pilnością odznaczają się właśnie studenci-murzyni. Pracują w salach bibliotecznych po osiem, dziesięć godzin bez przerwy i opuszczają swe miejsca w ostatniej chwili, gdy się bibliotekę zamyka.

Poznaję także sposób doręczania książek. Na książkę nie czeka się tutaj dłużej, niż pięć minut. Specjalne urządzenie mechaniczne, pędzone siłą elektryczną, dostarcza w błyskawicznym tempie żądanych egzemplarzy. O takiej szybkości i precyzji nie można było marzyć nawet w niemieckich bibliotekach, które słynęły w Europie ze swej doskonałej organizacji.

Podwoje olbrzymiego gmachu biblioteki stoją otworem dla wszystkich. Przy wejściu nie trzeba się legitymować. Zarząd biblioteki pomyślał nawet o specjalnych salach dla dzieci. Także dla niewidomych przeznaczone zostały specjalne czytelnie, pozostające pod opieką i kierownictwem wytrawnych pedagogów.

Sporo czasu spędziłem w Bibliotece Publicznej.

Siedząc w wygodnym fotelu zapomniałem przez długą chwilę o tym, że znajduję się w dzielnicy milionerów. Public Library jest symbolem kultury na najbogatszej ulicy świata — Fifth Avenue.

## EMPIRE STATE BUILDING.

Uczucie obcości i osamotnienia ogarnia turystę w pierwszych dniach pobytu w Nowym Jorku. Ulega on bowiem wrażeniu, że się nigdy nie zdoła oswoić z warunkami życia amerykańskiego, które tak bardzo różnią się od europejskich. Wrażenie to jednak jest przemijające. W krótkim czasie przybysz wciągnięty zostaje w bystry nurt nowojorskiego życia i nasiąka rytmem olbrzymiego miasta. Dzień każdego obywatela nowojorskiego jest dokładnie podzielony i wymierzony. Czas jest tutaj cenny, a wszystkie sprawy załatwione być muszą w szybkim tempie. Rano śpieszą wszyscy do zajęć. Nie wolno tracić zbyt wiele czasu przy lustrze. Mężczyźni nie noszą przy pracy sztywnych kołnierzyków, lecz miękkie, złączone z koszulą. Nie piją przed wyjściem z domu kawy. Garnituru i butów nie pozostawiają dla służącej w przedpokoju, by je rankiem oczyściła, z tej prostej przyczyny, że przeciętny obywatel amerykański nie może sobie pozwolić na służbę

domową, której opłacenie wynosi blisko siedemdziesiąt dolarów miesięcznie. Obywatel nowojorski spożywa śniadanie w barze-aptece, a buty i ubranie czyści u fryzjera. Zakłady fryzjerskie w Ameryce mają inny niż u nas charakter. Mimo skrupulatnie podzielonego dnia pracy, Jankes poświęca stosunkowo dużo czasu fryzjerowi. Golenie trwa pół godziny. Siedzisz w fotelu, który jest niemniej wygodny od szerokiego, francuskiego łóżka. Nogi opiera Amerykanin bardzo wysoko, prawie na wysokości głowy. Lekarze utrzymują, że pozycja ta jest wygodna i zdrowa, ułatwia cyrkulację krwi. Przed przystąpieniem do golenia robią gościowi gorący masaż twarzy. Jednocześnie mały zwinny murzynek czyści buty. Do strzyżenia zaś dochodzi bezpłatny manicure. W tej wygodnej pozycji trwasz dość długo. Wolno ci nawet w chwili znużenia i błogiej senności — zdrzemnąć się nieco, nikt ci w tym nie przeszkodzi. Spostrzegłem, że do każdego golenia zużywa nowojorski fryzjer sporo serwetek. Dopiero po goleniu następuje czyszczenie garnituru i palta. Za wszystko płacisz nie więcej, jak dwadzieścia pięć centów. Opuszczasz zakład fryzjerski świeży i wypoczęty.

Nowy Jork posiada jeszcze wiele innych miejsc, gdzie można swobodnie wypocząć. Takim miejscem wypoczynku są hotele i kina. Każdemu wol-

no wejść nawet do najelegantszego hotelu, zająć pokój toaletowy, umyć się i odświeżyć. Portier nie będzie przeklinał cię za to, że do obcego przyszedłeś hotelu, nikogo tutaj nie szukając. Pośle jeszcze za tobą pikolaka, by ci wszystko wskazał i ułatwił. W zupełnie obcym hotelu masz prawo zająć biurko, napisać bieżącą korespondencję, oczywiście, na firmowym papierze hotelowym. Jest to jedna z metod reklamy, jaką posługują się w Ameryce właściciele hotelów.

Szukający wypoczynku może również w Movie'tonie znaleźć miłe dla siebie schronienie. Kina otwarte są od dwunastej w południe. Zajmujesz miejsce w wygodnym fotelu i przyglądasz się kolejno dwum lub trzem filmom. Specjalnym powodzeniem cieszą się w Nowym Jorku burleski. Ich siłę atrakcyjną stanowią ukazujące się na scenie... nagie kobiety. Program zaczyna się nic nie mówiącym, banalnym filmem i dopiero po jego wyświetleniu wchodzą na scenę przedstawicielki płci pięknej, jedna przystojniejsza od drugiej. Te kobiety nie muszą umieć tańczyć lub śpiewać. Ich jedyna czynność polega na systematycznym zrzucaniu z siebie strojów i stopniowym obnażaniu się. Widownię wypełniają niemal wyłącznie mężczyźni. Do pierwszych rzędów krzeseł nie sposób się dobić, gdyż są zawsze zajęte przez amatorów nagości. Specjalnym powodzeniem cieszą się

burleski Mińskich. Ci spryciarze z Suwałk zbijają kokosy.

Dzień dzisiejszy rozpocząłem od zwiedzania Empire State Building, najwyższego na świecie gmachu. Amerykanie osiągnęli więc rekord wysokością swej potężnej budowli. Usunęli w cień wieżę Eifla. O tym, by prześcignąć Paryż — dawno marzyli milionerzy amerykańscy. Olbrzymie kapitały poświęcono na budowę tego gmachu i wielkie pożyczki na ten cel zaciągnięto. Empire State Building przeszedł jednak w posiadanie Banku Hipotecznego, ponieważ długi nie zostały w terminie zapłacone. Empire State — to jedyny w Nowym Jorku drapacz chmur, którego zwiedzanie jest płatne. Stworzono nawet specjalne towarzystwo akcyjne dla eksploatacji wycieczek po tym gmachu. Za wejście płaci się dolara i dziesięć centów. Dla nas, dziennikarzy, dyrektor czyni wyjątek. Zostaliśmy zwolnieni z jakiejkolwiek opłaty. Dźwig wiezie nas wprost na siedemdziesiąte szóste piętro. Spojrzałem na zegarek: cała ta podróż w górę trwała nie dłużej, jak półtora minuty. W głowie szum i zamęt. Zdaje ci się, że za chwilę dostaniesz morskiej choroby. Z siedemdziesiątego szóstego piętra pędzimy dalej windą na osiemdziesiąte drugie. Stąd udajemy się już pieszo na wieżę. Zainstalowano tutaj stację radiową i każdy ze zwiedzających może wygłosić przez

mikrofon przemówienie, które, jak zapewnia speaker, transmitowane jest na cały świat. Mówca może otrzymać później treść swego przemówienia nagraną na płycie. Oczywiście — nie za darmo. Taka płyta kosztuje parę dolarów. Amerykanin nie żałuje na to pieniędzy. W kole przyjaciół i gości z satysfakcją nastawi płytę, która uwieczniła jego prelekcję. Sprytny sprzedawca, przy kupnie płyty, wszeptuje klijentowi do ucha, że jego przemówienie wywarło wielkie wrażenie na wszystkich słuchaczach i że o nim wszędzie rozprawiają.

Po zakończeniu prelekcyj radiowych dano każdemu możność obejrzenia stolicy Stanów Zjednoczonych ze szczytu Empire State Building, a więc z wysokości przeszło stu pięter. Widok był istotnie wsapniały. Nawet olbrzymie budowle wyglądały z tej wysokości jak dziecinne zabawki. Jeno wysmukłe wieże bloków strzelają dumnie ku niebu i nadają miastu specyficzny charakter, tak bardzo odmienny od wszystkich miast europejskich.

Ze szczytu Empire State schodzimy na osiemdziesiąte drugie piętro, gdzie mieści się wytworna kawiarnia. Ceny są tutaj, zgodnie z położeniem, wysokie. Restauracja ta ma jednak wielką zaletę, jakiej żaden inny publiczny lokal w Nowym Jorku nie posiada. Panuje tutaj absolutna

cisza. Jest to idealne miejsce wypoczynku dla ludzi, którym gwar i łoskot wielomilionowego miasta nadszarpnął nerwy. Dokoła — kojący spokój. Przypomniało mi się zaciszne i ustronne café na górze Jungfrau w Szwajcarii. Niktby przecież nie przypuszczał, że w centrum hałaśliwego Nowego Jorku, na Fifth Avenue, znajduje się tak cicha, izolowana od wszelkiego gwaru, wysepka.

W restauracji największego na świecie drapacza nikt się nie spieszy. Nawet kelnerki są tutaj inne, niż we wszystkich restauracjach w Nowym Jorku. Wśród nich spotkałem kilka dziewcząt polskich, których rodzice przed wielu laty opuścili kraj ojczysty i osiedlili się w Ameryce. Mówiły one już bardzo kiepsko po polsku. Polskę, albo słabo pamiętają, albo wiedzą o niej tylko z opowiadań rodziców. Wypytują nas, co w Polsce słychać, co się w niej dzieje i jak tam ludzie żyją.

Zanim opuściliśmy Empire State Building zaproponowano nam jeszcze kupno rozmaitych drobiazgów pamiątkowych, Nabyłem bogato ilustrowany album z historią tego gmachu. Gdy później przeglądałem ten album, napotkałem wśród architektów, którzy budowali najwyższy gmach na świecie, wiele żydowskich nazwisk. Żydowscy inżynierowie odgrywali i odgrywają nadal doniosłą rolę w rozbudowie Nowego Jorku. Obecnie do naj-

bardziej głośnych architektów w Nowym Jorku należą dwaj Żydzi: Masejew i Mozes. Mozes bierze czynny udział w żydowskim życiu społecznym. Jest jednym z najbardziej oddanych członków „Przyjaciół Żydowskiego Instytutu Naukowego w Wilnie“.

Jest rzeczą charakterystyczną, że nie bacząc na wielką rolę, jaką Żydzi odgrywają w Nowym Jorku, największe bogactwa znajdują się jednak nie w rękach żydowskich. Prawdziwie wielkich milionerów, bankierów i fabrykantów rzadko spotkasz wśród Żydów amerykańskich.

Wielkie fortuny istnieją raczej w wyobraźni naszych wrogów.

## AMERYKAŃSKIE ZWYCZAJE.

Z pośród wielu znajomych, których postanowiłem odwiedzić w Nowym Jorku, znalazł się dawny mój przyjaciel, który piętnaście lat temu opuścił Polskę i osiedlił się na stałe w Ameryce. W przeciągu paru lat korespondowaliśmy ze sobą żywo i serdecznie, aż wreszcie któregoś roku przestaliśmy do siebie pisywać i odtąd wszelka o nim wiadomość zaginęła. W notesie zapisałem jego dawny, znany mi jeszcze z korespondencji, adres i numer telefonu. Okazało się, że już dwa lata minęły, od czasu, gdy wyprowadził się z tego mieszkania. Obecnego adresu nikt nie umiał mi wskazać. W Nowym Jorku nie ma informatora adresowego. Nie istnieje tu nawet system meldunkowy. Jakże więc odszukać człowieka, którego pragnie się zobaczyć? Sprawa nie przedstawia się zbyt skomplikowanie, jeżeli osoba poszukiwana posiada telefon. Telefony są w Ameryce własnością prywatnego przedsiębiorstwa, podobnie, jak koleje, telegraf i stacje radiowe. Prywatny przed-

siębiorca nie wypuści z ręki najmniejszego zarobku. Hołdują tej zasadzie zwłaszcza właściciele spółki telefonicznej. Zwróciłem się do stacji telefonicznej, podałem znany mi adres mego przyjaciela i dawny numer jego telefonu. Po upływie pięciu minut otrzymałem wyczerpujące informacje. Znajomy w ciągu ostatnich kilku lat pięć razy zmieniał miejsce zamieszkania. Obecnie mieszka w Brooklynie. Opłata za informację wynosi 5 centów.

Skomunikowaliśmy się odrazu telefonicznie i w godzinę później był już u mnie, by mnie natychmiast zabrać do siebie. Jedziemy subwayem czterdzieści pięć minut. Gdy wyszedłem z podziemia na ulicę trudno mi było uwierzyć, że znajduję się wciąż jeszcze w Nowym Jorku. Część Brooklynu, w której się znalazłem, składała się z jednopiętrowych i parterowych domków, budowanych według najnowszego stylu. Domki te jasne i pogodne przeznaczone są dla jednej lub dwóch rodzin. Wybudowanie takiego mieszkania dla siebie kosztuje do trzech tysięcy dolarów. Domek wyposażony jest w najbardziej nowoczesne urządzenia techniczne. Ludzie, pragnący spokoju, chętnie zamieszkują w małych i wytwornych budynkach, będących przeważnie własnością ich lokatorów.

Mój znajomy dawno marzył o własnym domku. Wielkiego bogactwa co prawda nie posiada. Pra-

cuje na posadzie i w przeciągu ostatnich kilku lat był już parokrotnie pozbawiony pracy. Uciułał jednak trochę pieniędzy i wybudował własne mieszkanie. Już od kilku miesięcy zajmuje on jasny, parterowy domek i jest bardzo zadowolony z roli „kamienicznika". Pamięta bowiem dobrze gospodarza domu z Nowolipek w Warszawie, który straszył go ciągle widmem eksmisji, skoro tylko zalegał z komornem za dwa miesiące.

Mieszkanie mego przyjaciela składało się z czterech pokoi. Mebli było tutaj niedużo, podobnie zresztą, jak we wszystkich mieszkaniach nowojorskich. Specjalnej jadalni mieszkanie to nie posiadało, lecz obok kuchni znajdował się mały pokój, gdzie stał właśnie stół nakryty do obiadu. Małe te pokoje, zastępujące jadalnie, zauważyłem w wielu mieszkaniach, zwłaszcza u ludzi średnio zamożnych. Obywatel nowojorski nie przywiązuje wielkiej wagi do posiłków domowych, gdyż, śniadania, obiady, a często i kolacje spożywa poza domem. Jak już wypadło mi zaznaczyć — Jankes nie lubi tracić zbyt wiele czasu i pieniędzy na jedzenie, traktuje je tylko jako nieuniknioną konieczność.

Przyglądałem się nieraz młodym amerykańskim pannom w najrozmaitszych coffeteriach, barach-aptekach, automatach. Wszystkie one, choć elegancko ubrane, ze starannie manicurowanymi

paznogciami, spożywały bardzo skromne posiłki, na które składał się przeważnie sandwich i szklanka kawy. Za to płaciły dziesięć centów. Pracownica amerykańska, zarabiająca przeciętnie piętnaście dolarów tygodniowo, woli raczej chudo zjeść, aby tylko starczyło na efektowne sukienki, jedwabne pończochy i elegancki kapelusik.

Tym razem przygotowano dla mnie w domu mego przyjaciela suty i obfity obiad. Pomyślała o tym gospodyni domu, którą mąż uprzedził o mojej wizycie.

Po obiedzie oprowadził mnie znajomy po swym mieszkaniu i pokazał mi wszystkie jego „cuda". Nacisnął guzik i — otwarły się szeroko drzwi, z których wyskoczyło łóżko. Kuchnia była zaopatrzona w świetnie urządzoną lodownię. Nie spostrzegłem tu nigdzie szaf garderobianych, gdyż wszystkie ubrania, garnitury i suknie wisiały w specjalnie dla nich urządzonych komórkach w głębi ścian, zwanych „closed". Wszystkie nieliczne zresztą meble były niedawno kupione i pachniały świeżością.

— U nas w Ameryce — opowiada znajomy — ludzie nie przywiązują się zbytnio do jednego mieszkania i zmieniają je co pewien czas. W związku z tym zmieniają często i meble. Można je bowiem nabyć na bardzo dogodnych warunkach i poprostu nie warto wlec ze sobą starzyzny.

W ostatnim mieszkaniu miałem stare pianino. Przy przeprowadzce meble rozdałem sąsiadom, pianina jednak nikt nie chciał przyjąć w podarunku. Postanowiłem zostawić je w dawnym mieszkaniu. Skoro o tym dowiedział się gospodarz, natychmiast zagroził mi przez swego adwokata, że jeżeli nie wyniosę z domu pianina, będę zmuszony dalej płacić komorne. Byłem w niemałym kłopocie, aż wreszcie znalazłem znajomego, który „zlitował" się nade mną i raczył przyjąć instrument. Musiałem mu jednak dać trzy dolary na koszty przewozu...

Amerykanie żywią niewymowny wstręt do rzeczy znoszonych i używanych. Gdy kupiłem nowy kapelusz, subiekt nie pytając mnie wcale o pozwolenie, wrzucił stary do kosza. To samo spotkało mnie z rękawiczkami. Przed wyrzuceniem jednak starych butów zapytano mnie, czy mam zamiar je jeszcze nosić. Pytanie to było raczej formalne i w takim tonie zadane, że volens nolens kiwnąłem przecząco głową. Dowiedziałem się dopiero później, że buty należą do nielicznych „sprzętów", które podlegać mogą reparacji. Obuwie nie reparuje się u szewca. Istnieją specjalne warsztaty, gdzie za dwadzieścia pięć centów, wykonywane są wszelkie roboty, wchodzące w zakres sztuki szewskiej. Reparacja, nawet najpoważniejsza, trwa niedłużej, niż piętnaście minut, przy

czym buty w razie potrzeby ulec mogą zarówno zmniejszeniu, jak i zwiększeniu. W taki to szybki i radykalny sposób pozbyli się Amerykanie największego bodajże koszmaru: ciasnych butów.

Mój znajomy nie pozwolił mi wcześniej opuścić swego mieszkania, zanim nie poznam dwóch jego synów, którzy mieli niebawem nadejść z treningu futbolowego. Istotnie podczas naszej rozmowy zapukano energicznie do drzwi, w których po chwili ukazało się dwóch ogorzałych od słońca chłopców w wieku lat dwunastu i czternastu. Ojciec przedstawił im gościa z Europy. Prawie jednocześnie podali mi swe silne i młode ręce, obrzucając mnie podejrzliwie wzrokiem od góry do dołu. Przedstawiali typowych amerykańskich boy'ów, dobrze wysportowanych, ale umysłowo znacznie mniej rozwiniętych od naszych dzieci w tym samym wieku.

Znajomy zaproponował spacer po Brooklynie. Zgodziłem się nań chętnie i wsiedliśmy do auta. Mijamy ciche, spokojne ulice. Po obu stronach wznoszą się jasne, drewniane domki. Oko wypoczywa po nowojorskich drapaczach. Przyglądając się czystym ulicom i schludnym domkom, przypomniałem sobie, że magistrat warszawski zabronił budowania drewnianych domków nietylko w centrum miasta, ale nawet na peryferiach. W swoim czasie skierowano do magistratu wiele

memoriałów, domagających się zniesienia tego zakazu. Na nic się jednak zdały wszystkie te protesty. Minister Starzyński, w czasie naszego pobytu w Nowym Jorku, oglądał te domki w Brooklynie i niewątpliwie wraz z nami podziwiał je. Czy jednak wrażenia, jakie odniósł nasz Prezydent w czasie swej podróży po Ameryce, wpłyną na zmianę decyzji magistratu warszawskiego? To, co odpowiada trzymilionowemu Brooklynowi, może się okazać wręcz nie do przyjęcia dla miast europejskich, które wszelkimi siłami starają się prześcignąć Amerykę, tymczasem -- bezskutecznie.

Wjeżdżamy w dzielnicę Bronzwill, a więc w samo centrum żydowskiego Brooklynu. Na wszystkich ulicach panuje niezwykłe ożywienie. Jest bowiem wigilia Sądnego Dnia. W sklepach i przy straganach tłoczą się Żydzi. Kupują krawaty, koszule, pończochy — po tanich i przystępnych cenach. W sklepach spożywczych i kolonialnych panował niemniejszy tłok. Bronzwill przypomina polskie i litewskie miasteczka. Żydzi z długimi patriarchalnymi brodami, kobiety w perukach. Poruszają się szybko, mówią głośno i hałaśliwie, winszują sobie z okazji święta dobrego i szczęśliwego roku.

Tradycja i religia stanowią bardzo poważny czynnik w życiu starszego odłamu społeczeństwa

żydowskiego w Ameryce. Czujesz, że przywiązanie do kultury żydowskiej jest tutaj w Bronzwill daleko żywsze i bardziej bezpośrednie, aniżeli nawet na East-Side. Bronzwill daje żydowskiego czytelnika książek i gazet, żydowskiego widza teatralnego, dzieci dla żydowskich szkół. Kto kiedykolwiek mieszkał w dzielnicy Bronzwill, temu na całe życie pozostanie owe w sercu spoczywające poczucie łączności z narodem żydowskim, z jego kulturą i tradycją. Mógłby już wtedy nawet przenieść się do City, mieszkać na Westend lub Fifth Avenue.

Pod koniec naszego spaceru zwiedzamy Cuny Island-nowojorski Luna-Park, leżący nad brzegiem oceanu. W dni upalne przybywają tu ludzie ze wszystkich stron, by się wykąpać i odświeżyć w chłodnych falach Atlantyku. Na terenie Cuny Island odbywają się najrozmaitsze zabawy i przedstawienia. Amerykanin bawi się tutaj wraz z całą rodziną.

Obecnie, ze względu na późną jesień, nie ma tu prawie ludzi: wszystkie miejsca rozrywkowe świecą pustkami. Tylko nad brzegiem morza widać posuwające się powoli wózki, ciągnione przez murzynów lub białych studentów. W wózkach spoczywają starzy i schorzali ludzie. Koni w Nowym Jorku jest bardzo mało. Mogą sobie na nie pozwolić tylko amazonki z Central Parku. Tu-

taj nad brzegiem oceanu, funkcję pociągową spełniają murzyni, którzy nie wstydzą się żadnej pracy. Z murzynami konkurują dzielnie biedni studenci.

Ameryka jest krajem wszelkich możliwości. Tutaj milioner gra w brydża z windziarzem. Tutaj człowiek potrafi zaprzągnąć się do wózka i jak koń ciągnąć drugiego człowieka. Zarówno pierwsze zjawisko, jak i drugie, uchodzi w tym kraju za objaw naturalny.

## SYMPATIE I ANTYPATIE POLITYCZNE.

Zmarły niedawno vice-prezydent Nowego Jorku Bernard Deutsch, na przyjęciu, urządzonym dla żydowskich dziennikarzy z Warszawy, opowiedział bardzo charakterystyczny epizod.

W roku 1934 spędził on wakacje letnie we Francji. Przed samym wyjazdem wybuchł niespodziewanie strajk francuskich okrętów transatlantyckich i komunikacja z Ameryką została przerwana. Deutsch znalazł się w przykrej sytuacji, ponieważ zbliżał się termin objęcia urzędu. Istniała tylko jedyna możliwość przybycia na czas do Nowego Jorku — podróż niemieckim okrętem „Europa". Jako Żyd nie mógł się jednak zdobyć na to, by pojechać okrętem, należącym do hitlerowskich towarzystw żeglugowych. Przybył zatem do Ameryki ze znacznym opóźnieniem. Magistrat nowojorski uznał przyczynę opóźnienia za zupełnie usprawiedliwioną. Obywatel amerykański w ogóle pojąć nie może, jak można inaczej ustosunkować się do państwa, w którym przemoc,

dokonywana na ludności żydowskiej, jest co dziennym, naturalnym zjawiskiem. Istnieją w Nowym Jorku nieliczne restauracje niemieckie, które wykazują sympatie dla hitlerowskich Niemiec. Oczywiście, hecy antysemickiej nie uprawiają, gdyż to mogłoby przynieść szkodę ich interesowi. Lecz już ze względu na sympatie dla narodowego socjalizmu Żydzi bojkotują te restauracje.

Amerykanie również pojąć nie mogą, jak można po tylu samowolnych aktach, pozbawiających Żydów praw człowieka i obywatela, kupować towary niemieckie i propagować je za granicą. Nie należy się zatem dziwić, że wśród żydowskiego społeczeństwa w Ameryce tak wielkie powstało rozczarowanie do tych Żydów polskich, którzy mimo bojkotu, importowali nadal towary z hitlerowskich Niemiec.

Kiedy bawiłem w Nowym Jorku wielki rozgłos zyskał następujący incydent. Pewne towarzystwo pragnęło zorganizować wielki meeting publiczny i w tym celu wynajęło olbrzymią salę hotelu „New-Yorker". Właściciel hotelu, narodowy Żyd, nie przeczuwając nic złego, nie robił żadnych trudności organizatorom wiecu. Dopiero w ostatniej chwili dowiedział się, że celem odczytu jest propaganda haseł nazistycznych. Nie bacząc na dziesięciotysięczny tłum gromadzący się dokoła hotelu, właściciel wydał personelowi zarządzenie,

aby nikogo nie wpuścić na salę. Towarzystwu zwrócił pieniądze i pokrył z własnej kieszeni wszystkie koszty, związane z organizowaniem odczytu. Straty materialne hotelarza żydowskiego były znaczne. Wolał jednak stracić, niż pozwolić na to, by z trybuny jego sali wygłoszono ponurą prelekcję o nienawiści rasowej.

Wrogie ustosunkowanie się do Niemiec hitlerowskich daje się zauważyć nie tylko wśród społeczeństwa żydowskiego. Rodowici Amerykanie reagują również żywo na krzywdy i prześladowania Żydów w Niemczech. Amerykaninowi obce jest pojęcie rasizmu. W żadnym kraju nie ma tak wielkiej mieszaniny najrozmaitszych ras i narodowości, jak właśnie w Stanach Zjednoczonych. Jankes żywi co prawda wyraźną i zdecydowaną niechęć do murzynów, ale nie jest to bynajmniej wypływem jego rasowych uprzedzeń i animozyj. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że Chińczyków i Japończyków traktuje narówni z białymi. Przyczyna nienawiści do murzynów jest raczej natury zewnętrznej. Murzyn, według opinii Amerykanina, jest brudnym i niechlujnym stworzeniem, z którego unosi się przykra woń, uniemożliwiająca jakikolwiek z nim kontakt. Nie mam oczywiście zamiaru usprawiedliwiać Jankesów w ich postępowaniu z murzynami. Podkreślam tylko, że nie może być tutaj mowy o żadnej aprio-

rycznej nienawiści w myśl teorii rasowej narodowych socjalistów niemieckich.

Stosunek społeczeństwa amerykańskiego do Niemiec hitlerowskich bardzo wyraźnie uwydatnił się w kwestii udziału Ameryki w rozgrywkach olimpijskich, organizowanych w Trzeciej Rzeszy. Zawodowi sportowcy amerykańscy byli za udziałem w Olimpiadzie. Zwłaszcza pragnęli tego kierownicy oraz instruktorzy organizacyj sportowych, przekupieni przez ajentów hitlerowskich. Poważna jednak prasa nowojorska wypowiedziała się kategorycznie przeciwko udziałowi Ameryki w Olimpiadzie. Mniejsza o to, jaką uchwałę powzięto w tej sprawie. Faktem jednak jest, że społeczeństwo amerykańskie czuło się w obowiązku zaprotestowania przeciwko tym, którzy hasła nienawiści rasowej i wojującego nacjonalizmu wypisali na swych państwowych sztandarach.

Jednocześnie ze wzmagającą się falą antyhitlerowską, wzmagały się coraz bardziej w społeczeństwie amerykańskim sympatie dla Abisynii. Każda wiadomość o zwycięstwie Etiopów wywoływała w Ameryce szczery entuzjazm. Nawet speakerzy najrozmaitszych stacyj radiowych z zapałem podawali do wiadomości publicznej sukcesy Abisynii, a gdy zmuszeni byli powiadomić opinię publiczną o zwycięskim pochodzie wojsk włoskich, w ich głosie drgała wyraźna nuta żalu.

Mussolini zdawał sobie doskonale sprawę z sympatyj, jakie żywiła dla Abisynii — Ameryka. Starał się wszelkimi siłami przekonać choćby Włochów amerykańskich, że racja jest po jego stronie i że walczy o słuszną i sprawiedliwą sprawę. Z ciekawością przysłuchiwałem się któregoś dnia jednej z agitacyjnych mów Mussoliniego, trasmitowanej z Rzymu bezpośrednio na Nowy Jork. Duce domagał się od Włochów amerykańskich, aby natychmiast przybyli do kraju i wsparli ojczyznę w tak ciężkiej dla niej chwili. Jeśli nie mogą przybyć, żądał natychmiastowej wydatnej pomocy pieniężnej. Mussolini mówił tym razem z większym zapałem niż zwykle. Głos jego brzmiał potężnie i stanowczo. Nagle przemówienie zostało przerwane. Speaker oznajmił, że musiała nastąpić przerwa w transmisji włoskiej, gdyż rozpoczął się właśnie mecz futbolowy między najsilniejszymi drużynami w Ameryce — Detroit i Chicago, który będzie nadawany na wszystkie rozgłośnie Stanów Zjednoczonych...

Odbywając przed południem swą zwykłą wędrówkę po ulicach Nowego Jorku spostrzegłem na Times Square olbrzymi afisz, zapowiadający wiec w sprawie konfliktu włosko-abisyńskiego. Wśród wymienionych nazwisk znalazł się rabin Stiphen Wise i ksiądz Holmas. Przyszedłem na wiec o godzinie dziewiątej wieczorem. Olbrzymia

sala w Madison Square Garden, przeznaczona conajmniej na pięćdziesiąt tysięcy ludzi, była zapełniona po brzegi. Właśnie rozpoczął przemówienie dr. Wise. Jego dźwięczny i silny głos oraz żywa gestykulacja wytrawnego publicznego mówcy, przykuwały doń uwagę. Wise wystąpił energicznie przeciwko Włochom i faszyzmowi, gromił Niemcy hitlerowskie, wziął w obronę Abisynię oraz mieszkańców Kuby, maltretowanych przez rząd Stanów Zjednoczonych. Gdy skończył, zerwała się burza oklasków. Salę rzęsiście oświetlono i wśród zgromadzonych spostrzegłem wielu murzynów. Z większym niż inni zapałem bili głośne i serdeczne brawa Wise'owi. Po nim wystąpił ksiądz Holmas. Mówił spokojniej niż Wise, był bardziej zrównoważony i przemówienie jego wywarło również silne wrażenie na obecnych. Później odczytano powitalną depeszę, nadesłaną przez arcybiskupa I. Mc. Connell. Długie niemilknące brawa trzęsły olbrzymią salą po odczytaniu słów powitalnych dostojnika kościoła.

W czasie przerwy rozdawano wśród publiczności deklaracje do podpisywania. Zdziwienie moje było niemałe, gdy się okazało, że deklaracje te nawołują do zapisania się na członka... partii komunistycznej. Byłem zupełnie zdezorientowany. Jakto, na wiecu, gdzie występuje rabin i ksiądz, deklaracje komunistyczne?!

Znajomy dziennikarz wyjaśnił tę dość dziwną sytuację. Więc zorganizowany został przez stowarzyszenie, pozostające w bliskim kontakcie z partią komunistyczną.

— Co mają z tym wspólnego rabini i księża?— pytam nie mniej zdziwiony.

— W Ameryce jest to zjawisko zupełnie naturalne, że księża i rabini oraz inni duchowni występują na socjalistycznych, a nawet komunistycznych wiecach, skoro bronią sprawy wspólnej i sprawiedliwej. Nikt im z tego powodu żadnych nie robi wymówek.

Wiec komunistyczny z udziałem przedstawiciela duchowieństwa oraz powitalna depesza arcybiskupa przekonały mnie i tym razem, że Ameryka jest krajem wszelkich możliwości.

## WŚRÓD MURZYNÓW W HAARLEMIE.

Murzyni w Ameryce wiodą odrębny, swoisty tryb życia. W Nowym Jorku, Chicago i Waszyngtonie nie odczuwa się niemal wcale prześladowań murzynów. Spotkasz ich narówni z innymi obywatelami w subway'u, w elevated, w autobusach i tramwajach. W miejskich szkołach dzieci murzyńskie uczą się razem z dziećmi białymi. W bibliotekach publicznych czarni są również licznie reprezentowani.

Inaczej ustosunkowały się do murzynów Stany Południowe. Począwszy od Richmond—myrzynom nie wolno zajmować innych miejsc w autobusach i tramwajach, jak tylko te, które zostały specjalnie dla nich wyznaczone. Nawet na ulicy nie spotkasz murzyna w towarzystwie białego. W takich warunkach trudno oczywiście pomyśleć o wspólnej szkole. Dziecko białej rasy w żadnym wypadku nie będzie się tutaj uczyło z murzyńskim. Ale nawet w tych miastach, gdzie murzyni są na pozór zrównani z innymi obywatelami kra-

ju, istnieje dla nich specjalne ghetto. W innej dzielnicy mieszkać im nie wolno. Murzyni, zatrudnieni w City w charakterze windziarzy lub woźnych muszą po skończeniu pracy jechać do swego ghetta, do Haarlemu. Haarlem — to kawał Afryki w Nowym Jorku. Od ulicy 125 do 140 rozciąga się dzielnica murzyńska. Na całej jej przestrzeni rzadko zobaczysz białego człowieka. Biali, błąkający się po zaułkach Haarlemu, to przeważnie turyści lub poszukiwacze przygód i emocyj w ekscentrycznych kabaretach murzyńskich.

Murzyni amerykańscy nie posiadają do tej pory odpowiednich przywódców, którzyby podnieśli ich kulturę, wegetującą jeszcze na poziomie zupełnie prymitywnym. Ci nieliczni murzyni, którzy zdobyli wykształcenie, opuszczają Haarlem i wyjeżdżają do Afryki, gdzie znajdują szerokie pole do działania w najrozmaitszych dziedzinach. Inteligentni i wykształceni murzyni, którzy pozostają w Ameryce, często służą w tym kraju kwitnącej korupcji politycznej, jako narzędzie i broń przeciwko własnym swym braciom.

Nic zatem dziwnego, że murzyni amerykańscy pozostają pod destruktywnym wpływem najrozmaitszych spryciarzy i kombinatorów, którzy pod płaszczykiem religii i haseł humanitarnych pociągają ku sobie dla swych osobistych celów ciemne, nieuświadomione tłumy. Liczba sekt religijnych

stale wzrasta. Ich twórcami są ludzie o wyrafinowanym zmyśle kupieckim i w krótkim czasie gromadzą olbrzymie fortuny. Do najpopularniejszych ludzi, którzy zdołali uzyskać wielki rozgłos wśród murzynów nietylko Nowego Jorku, lecz nawet całej Ameryki, należy Vater Divine — Ojciec Święty. W samym Nowym Jorku liczba jego zwolenników sięga do stu tysięcy. Zwiedziłem dom modlitwy „świętego" murzyna. O godzinie dziesiątej wieczorem świątynia jego była szczelnie zapełniona ludźmi. Setki wiernych, nie mogąc dostać się do wnętrza, tłoczyło się na stopniach i przy wejściu. Modlitwę odprawiano w języku angielskim. Panowała tu atmosfera żarliwej pobożności i niezwykłej religijnej egzaltacji. Około wpół do jedenastej tłum począł się powoli rozchodzić. Nikt jednak nie poszedł do domu. Wszyscy wierni po skończonej modlitwie zeszli do piwnicy, znajdującej się w gmachu świątyni. Stały tam długie stoły, uginające się pod ciężarem licznych potraw i trunków. Gdy wszedłem, stoły były już zajęte przez biesiadników. Wszyscy obecni zawodzili monotonną pieśń, zaczynającą się od słów: I love you Vather Divine (Kocham cię boski ojcze). Ci, dla których nie starczyło już miejsca przy stole, rzucili się w dziki nieokiełznany tan, wykonywując przy tym najrozmaitsze ruchy i figury. Wszystko świadczyło wymownie, że czarny, mu-

rzyński tłum jest w tej chwili mocno podniecony. Wielu powstało nawet z miejsc i wzrokiem pełnym bałwochwalczej ekstazy wpatrywało się w najjaśniejsze oblicze „ojca świętego".

Vather Divine jest mężczyzną w średnim wieku o zupełnie łysej czaszce. Jego twarz o grubych, murzyńskich rysach, nie różniła się niczym od innych twarzy murzyńskich na tej sali i nie miała w sobie nic boskiego. Niemo spoglądał na rozentuzjazmowany tłum i nie raczył ani na chwilę zmienić poważnego wyrazu twarzy. Gdy ustały śpiewy i tańce wyłoniła się z tłumu wiernych jakaś kobieta, która poczęła opowiadać o „cudach" dokonywanych przez ojca świętego. O tych samych cudach opowiadano sobie z zachwytem w kuluarach sali piwnicznej, a więc przy wejściu do podziemia, w którym znajdowaliśmy się. Pośród zgromadzonych murzynów spostrzegłem kilku białych. Honorowe miejsce przy stole biesiadnym zajęła młoda para również rasy białej. Byli to niewątpliwie „wybitni" goście.

Moją uwagę przykuwała w tym bardzo egzotycznym towarzystwie pewna biała dziewczyna, w której twarzy nietrudno było się doszukać wybitnie semickich rysów. Tańczyła bez przerwy w niezwykłej ekstazie i co pewien czas przesyła-

ła „ojcu świętemu" powietrzne całusy. Znajomy, który służył mi za przewodnika po zaułkach Haarlemu informuje mnie, że ojciec święty ma licznych zwolenników nawet wśród białych. Niektórzy z nich otaczają kultem murzyna poprostu dla interesu. Inni znowu, a zwłaszcza kobiety, szukają tutaj niezwykłych emocyj. Dziewczyna ta nawpół obłędna, rzucająca się bez wytchnienia w wir ekstatycznego tańca, jest córką żydowskiego rzezaka. Wmawia sobie od dłuższego czasu, że „boski ojciec" jest w niej śmiertelnie zakochany. Przychodzi ona tutaj dzień w dzień, by tańczyć i śpiewać przed obliczem Vather Divine. „Ojciec święty" za to odznacza się zupełnie trzeźwym i kupieckim umysłem. Doskonale umiał wyzyskać swą wielką popularność. Założył szereg sklepów, w których jego fanatyczni zwolennicy muszą kupować. Majątek „ojca świętego" sięga kilku milionów dolarów. Uczty w swej świątyni urządza on coprawda na własny koszt, w tym jednak zbożnym przekonaniu, że wierni pokryją je później wielokrotnie. Najrozmaitsze partie polityczne ubiegają się o względy „ojca świętego", chcą za jego pośrednictwem pozyskać dla swych celów masy murzyńskie. Począwszy od demokratów, a skończywszy na komunistach — wszyscy starają się pozyskać świętego murzyna. „Ojciec święty

ty" żyje ze wszystkimi w zgodzie i od wszystkich bierze grube pieniądze.

Liczba sekt religijnych rośnie wśród murzynów z dnia na dzień. Codziennie ukazują się nowi „święci", którzy w sprytny i wyrafinowany sposób starają się pozyskać naiwnych murzynów. Wyciągają od swych wiernych ostatnie centy, nic im wzamian za to nie dając. Pod tym względem zasługuje na pewne wyróżnienie Vather. Chociaż i on myśli przede wszystkim o swojej kieszeni, to przecież coś zrobił już dla wiernych i wyznawców. Otworzył dla murzynów szkoły i domy modlitwy. Na swym sztandarze wypisał wielkie hasła: Bóg, Ludzkość, Pokój. Wszystko to jest miłą i wiele obiecującą przynętą dla maltretowanych murzynów.

Do bardzo popularnych osobistości w świecie murzyńskim należy również Mather Horn. Jest to kobieta w starszym już wieku głosząca zupełną rezygnację z wszelkich uciech życia i nawoływująca do oczyszczenia grzesznej duszy. Idee swe głosi i propaguje wśród kobiet murzyńskich.

W jaki sposób pozbyć się grzesznej duszy? Odpowiedź na to pytanie daje Mather Horn zupełnie prostą: należy tańczyć tak długo i bez wytchnienia, dopóki grzeszna dusza sama z ciała wyjdzie. Wśród jej zwolenniczek zdarzają się czę-

sło wypadki ciężkiego omdlenia, a nawet śmierci. W nagrodę jednak za trudy i umęczenia wychodzi się z „sali tańców“ Mather Horn bez grzechów, bez plamki na sumieniu, z nową, nieskalaną duszą.

## NOWY JORK BAWI SIĘ...

Obywatel nowojorski pracuje ciężko, lecz rozrywki i przyjemności tego świata nie są mu bynajmniej obce. Korzysta skwapliwie z każdej wolnej chwili, aby się nieco zabawić. Pod tym względem różni się Nowy Jork od innych miast amerykańskich. Nawet w Chicago, liczącym trzy miliony mieszkańców, a słynnym na świat cały z powodu swych gangsterów, nie odczuwa się prawie wcale życia nocnego. Tylko w dzielnicy murzyńskiej spotkasz nocą nielicznych awanturników, pragnących dostać się do zamkniętych na wszystkie spusty podejrzanych lokalów chicagowskiego półświatka. W innych miastach prowincjonalnych, jak Detroit, Bufallo, Filadelfia, już o godzinie dziesiątej wieczorem spotyka się na słabo oświetlonych ulicach bardzo mało ludzi.

Inaczej przedstawia się życie nocne w Nowym Jorku. W nocy panuje tutaj na wielu ulicach większe ożywienie, aniżeli w dzień. Na Broadwayu, na Second Avenue, jest często po północy

żywiej i głośniej, aniżeli w godzinach rannych i popołudniowych, kiedy mieszkańcy Nowego Jorku spieszą do pracy lub wracają z zajęć do domów.

Nie ma chyba miasta na świecie, które posiadałoby tyle lokalów rozrywkowych, co Nowy Jork. Istnieją lokale, gdzie w ciągu jednej nocy zostawić można tysiące dolarów, są również i takie, gdzie już za dolara wesoło spędzisz parę godzin.

Jankes lubi egzotykę. Zjawiska obce i dalekie przemawiają żywo do jego wyobraźni. Głód egzotyczności zaspakaja Amerykanin w najrozmaitszych barach i restauracjach, prowadzonych przez Chińczyków, Arabów, Włochów, Rosjan i t. d. Wyjątkową popularnością cieszą się restauracje chińskie. Są one, podobnie, jak pralnie chińskie, rozrzucone po wszystkich bulwarach i ulicach Nowego Jorku. Jest rzeczą charakterystyczną, że w ubogiej dzielnicy chińskiej, przy wejściu do każdego takiego lokalu wisi ostrzegający napis: Japończykom wstęp wzbroniony. Głęboka nienawiść, jaką żywią Chińczycy do swych zaborców, przenieśli także na grunt Stanów Zjednoczonych, zwalczając tutaj wszystko, co pochodzi od ich wschodniego, wyspiarskiego sąsiada. W bogatych restauracjach chińskich na Broadwayu tego napisu nie ma. Tutaj bowiem chodzi przede wszyst-

kim o interes i wobec jego majestatu zniknąć muszą wszelkie antagonizmy.

Chińczycy mają swoje, narodowe potrawy. Jedzenia podawają na... pałeczkach. Jest to może bardzo egzotyczne i wschodnie, ale daleko mniej estetyczne i smaczne. Szczerze mówiąc, te egzotyczne chińskie potrawy niebardzo smakują człowiekowi z Zachodu i skoro gość rezygnuje z „egzotyki", każąc sobie podać coś „po amerykańsku", — nabiera odrazu innego humoru i konsumuje z apetytem.

Wielkim powodzeniem cieszą się także restauracje i bary rosyjskie. Rosyjska pieśń ludowa, romanse cygańskie, rosyjska „rubaszka", znajdują jeszcze w Nowym Jorku wielu zwolenników, zwłaszcza, co wydawać się może bardzo osobliwe — wśród Żydów. Spędziłem wieczór w restauracji „Rosyjska Karczma". Właścicielem jej był wysoki, tęgi rosjanin. Przechadzał się wśród stolików nadęty i chmurny. Towarzystwo niearyjskie, wypełniające jego lokal, niezbyt widocznie przypadło mu do gustu. Kelnerki natomiast, wszystkie w ukraińskich narodowych strojach, okazały się inteligentnymi dziewczętami. Nie mając innego zajęcia, musiały się imać kelnerskiego zawodu. Z pośród aktorów, występujących w tej restauracji, nietrudno było odszukać kilku Żydów, którzy

z trudem odtwarzali rosyjski tekst śpiewanych piosenek.

Do naszego stolika podeszła młoda dziewczyna i zaproponowała kupno papierosów. Jej wielkie, czarne i błyszczące oczy świadczyły wymownie, że z narodem rosyjskim pozostaje w bardzo nieścisłym związku. Władała kiepsko po rosyjsku i trudno było ją zrozumieć. Zwróciłem się do niej wprost po żydowsku. Na moje bezpardonowe pytanie, czemu tak nielitościwie kaleczy piękny język rosyjski, a nie mówi po angielsku lub żydowsku, odpowiedziała: interes tego wymaga.

W kabarecie i restauracji rosyjskiej wszystko wyglądać powinno typowo po rosyjsku, podobnie jak włoskie lub arabskie lokale rozrywkowe, by zapewnić sobie powodzenie, muszą posiadać charakter wybitnie narodowy.

Wszystko to, oczywiście, jest bardzo powierzchowne, sztuczne i często nawet groteskowe. Amerykanin, chociaż napozór trzeźwy i realny, nie pozbawiony jest przecież naiwności, która pozwala mu zachwycać się sztuczną egzotyką, hodowaną i pielęgnowaną w najrozmaitszych barach Nowego Jorku.

Na specjalną uwagę zasługują restauracyjki z dzielnicy Greenwich Village. Jest to nowojorski Montparnasse. Tutaj żyje amerykańska „cyganeria“. W dzielnicy tej zwiedziłem wystawę obra-

ów, na którą złożyły się prace czterystu malarzy. Wystawa została zorganizowana w niezwykle prymitywny sposób: pod gołym niebem, na chodnikach ulic sprzedawano obrazy. Malarze stali przy swych malowidłach i donośnym głosem przywoływali klijentów.

Jeden z nich zaproponował mi kupno obrazu, któremu właśnie przyglądałem się. Chcąc się z tego wykręcić, zwłaszcza że obraz nie podobał mi się zbytnio, przyrzekłem, że przyjdę nazajutrz. Malarza nie zbiło to bynajmniej z tropu i nawpół poważnie, nawpół drwiąco z wyraźnym filozoficznym namysłem, odparł:

— Kto wie, czy dożyję do jutra?!

Skoro jednak uda się tym wesołym biedakom sprzedać jakiś obraz, natychmiast biegną do jednej z licznych w tej dzielnicy restauracyj i wydają wszystkie zarobione pieniądze. W lokalach na Greenwich Willage, gdzie zbiera się artystyczna brać, panuje zawsze wesoły nastrój. Przy kuflach piwa upływają beztrosko najprzyjemniejsze chwile. Właściciele lokalów chętnie goszczą u siebie tę cyganerię artystyczną. Nie martwi ich nawet to, że ktoś z powodu braku pieniędzy nie ureguluje rachunku za spożytą konsumcję. Wiedzą bowiem dobrze, że skoro zjawi się w ich lokalu zamożny Amerykanin lub cudzoziemiec,

zwabiony urokiem nowojorskiej bohemy, zapłaci za wszystko z nadwyżką.

Do eleganckich lokalów Nowego Jorku należy wytworny kabaret „Hollywood". Wdałem się w rozmowę z kelnerem, który usługiwał nasz stolik. Dowiedziałem się, że jest Żydem rumuńskim. Pięćdziesiąt trzy lata mieszka w Ameryce, a kelnerem jest już czterdzieści pięć lat. Powodzi mu się dobrze, dzieciom dał odpowiednie wykształcenie. W ogóle kelnerzy w Ameryce zarabiają nie najgorzej. Amerykanin bowiem nie szczędzi napiwków i przy pewnym zmyśle oszczędnościowym nietrudno zebrać skromny mająteczek.

Specjalną atrakcję stanowią w Nowym Jorku tak zwane „taksy girls". Istnieją dancingi, zwłaszcza na Broadwayu, gdzie za skromną opłatą 10 centów masz prawo poprosić do tańca młodą studentkę lub uroczą adeptkę sztuki filmowej. Występują one tutaj w charakterze fordanserek. Wejście do takiego lokalu jest bezpłatne. Należy tylko wykupić sześć numerków za sześćdziesiąt centów. Za każdy poszczególny taniec wręczasz swej partnerce numerek, a więc dziesięć centów, z czego właściciel lokalu potrąca cztery dla siebie.

Nawiązałem rozmowę z tancerką, która jest studentką nowojorskiego College. Powiedziała mi, że w ciągu jednej nocy zarabia przeciętnie dolara. Pieniądze te przydają się jej bardzo, gdyż rodzi-

ów ma ubogich i nie są w stanie dać swej córce na studia.

Żydowska brać literacka i artystyczna spędza wieczory w Café Royal, które mieści się w centrum żydowskiej dzielnicy, na Second Avenue. Kto pragnie wiedzieć, co się dzieje w żydowskim świecie kulturalnym Nowego Jorku, ten musi, choć raz na tydzień, odwiedzić Café Royal. Tutaj rozprawia się o Palestynie, roztrząsa się możliwości emigracji do Biro-Bidżanu, a sędziwy pisarz Leo Kobryn nie szczędzi słów entuzjazmu dla krymskich kolonistów. W Café Royal mówi się także o literaturze i często prowadzi się długie dyskusje na temat twórczości poetyckiej młodego i starego pokolenia.

W Café Royal jest zawsze gwarno i wesoło. Żydowskim literatom i dziennikarzom wiedzie się w Ameryce wcale dobrze. Aktorzy też nie mieli na początku sezonu teatralnego powodu do smutku, ich gaże bowiem w czasie sukcesów świątecznych wypłacano regularnie. Skoro jednak teatry przeżywają kryzys daje się on odrazu we znaki i w Café Royal. Nikt jednak nie zdradza swego lokalu. Przychodzi doń wtedy, kiedy ma dużo dolarów i wtedy, kiedy jest bez centa. Café Royal jest jakby schroniskiem dla wszystkich żydowskich artystów, pisarzy i poetów Nowego Jorku.

## ZAWROTNE KARIERY DZIECI GHETTA.

Jak świat długi i szeroki, wszędzie, dokąd sztuka filmowa dociera, znani są Irving Berlin, Eddie Cantor, Sylvia Sidney, Paul Muni, Al. Jolson. Nie wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że ci wybitni aktorzy amerykańscy są dziećmi żydowskiego ghetta i wywodzą się z nowojorskiego East-Side'u. Wychowani w ubogim środowisku, jedynie dzięki niezwykłym zdolnościom udało im się podbić sceny wielkich teatrów na Broadway'u, a stamtąd prowadziła już prosta droga do Hollywood, gdzie czekała ich sława i fortuna.

Warto zatrzymać się przez chwilę nad dziwnymi kolejami losu każdego z tych aktorów.

Irving Berlin był dzieckiem ubogich rodziców, mieszkających w centrum żydowskiego East-Side'u. Sławę zdobył sentymentalnymi piosenkami oraz tkliwą muzyką, komponowaną do najrozmaitszych filmów dźwiękowych. Jako młody chłopiec szukać musiał po mieście zarobków, by pomóc rodzicom w ich codziennej walce o chleb.

Miał miły, ujmujący głosik i postanowił go eksploatować. Niebawem zaangażowany został do jednego z najbardziej podrzędnych barów, jako „śpiewający kelner". Sprytny impresario rychło spostrzegł w tym małym, niepozornym chłopcu żydowskim niepospolity talent. Zabrał go więc natychmiast, począł kształcić i już pierwszy występ przyniósł młodemu Irvingowi uznanie zarówno krytyki, jak i publiczności. Spodobały się zwłaszcza jego rzewne, pełne melancholii piosenki, które śpiewał z wdziękiem i prostotą. Odtąd stał się sławnym librecistą i piosenkarzem, a biura filmowe zarzucały go bez przerwy zamówieniami nowych tekstów i melodii. Z dnia na dzień rosła jego sława i fortuna. W owym czasie zakochała się w Irvingu — Ellen Macay, córka jednego z najbogatszych ludzi w Nowym Jorku. Ojciec jej był właścicielem Postal-Telegraph-Company. Rodzina Macay należy do najbardziej arystokratycznych w Stanach Zjednoczonych. Rodzice Ellen byli niezwykle zmartwieni, że ich jedyna córka zakochała się w żydowskim śpiewaku. Wysłali ją zatem w podróż dokoła świata, by w obcowaniu z nowymi ludźmi i krajami zapomniała o swej nieszczęśliwej miłości. Dziewczyna jednak, skoro tylko wróciła z podróży, oświadczyła rodzicom wręcz, że bez Irvinga nie wyobraża sobie dalszego życia, że musi wziąć z nim ślub.

Rodzice, wobec stanowczej postawy zakochane córki, zezwolili na małżeństwo. W krótkim czasi pani Berlin oddziedziczyła po matce olbrzymi ma jątek, a Irving stał się współwłaścicielem Posta Telegraph - Company. Nie zrezygnował jedna z kariery artystycznej i dalej zbija miliony z swe melodie i piosenki.

Śpiewającym kelnerem w podrzędnym barze n East-Side był również Eddie Cantor, serdeczn przyjaciel Irvinga Berlina. Nieraz włóczyli si obaj po wąskich uliczkach żydowskiego ghett w poszukiwaniu pracy i zarobku.

Obecnie jest Eddie Cantor jednym z najgłośniej szych aktorów amerykańskich. Za piętnastominu towy występ w radio otrzymuje pięć tysięcy dolarów.

Parę lat temu Eddie Cantor stracił na Wall Street olbrzymią sumę, blisko milion dolarów W związku z tym napisał książkę p. t. „W jaki sposób straciłem milion dolarów?“ Książka tryska niebywałym humorem i jest jaskrawą satyra na stosunki giełdowe w Stanach Zjednoczonych. Rozeszła się podobno w setkach tysięcy egzemplarzy i przyniosla Cantorowi dochód, przewyższający daleko stratę, poniesioną na giełdzie...

Właściwe nazwisko Paula Muni brzmi: Muni Weisenfreind. Jeszcze przed ośmiu laty grał w teatrze Morisa Schwarza. Później przeniósł się na

Broadway, do teatru angielskiego. Jego bujny talent aktorski nie mógł się jednak wyżyć w płaskich farsach, granych codziennie na Broadway'u. Porzucił niebawem teatr i poświęcił się całkowicie sztuce filmowej. Na tym terenie dokonał prawdziwej rewolucji. Do tej pory wszystkie filmy amerykańskie kończyły się banalnie, stereotypowo, sławetnym „happy end'em". Wszelkie konflikty musiały biec ku szczęśliwemu rozwiązaniu. Paul Muni zerwał z tym komunałem. Wprowadził do akcji pierwiastek dramatyczny. Paul Muni pierwszy zmącił przysłowiową pogodę filmów amerykańskich, udramatyzował je i w ten sposób zbliżył kino do życia, które niezawsze rozwiązuje problemy wyłącznie „na wesoło".

Urocza Sylvia Sidney jest również stuprocentową semitką i pochodzi z inteligentnego domu żydowskiego. Jej ojciec jest do dziś dnia popularnym lekarzem-dentystą w żydowskiej dzielnicy Nowego Jorku. Sylvia Sydney miała młodość bardziej pogodną niż Irving Berlin i Eddie Cantor. Jako córka zamożnego lekarza otrzymała odpowiednie wychowanie i wykształcenie. W drodze do sławy miała do przezwyciężenia o wiele mniej trudności, niż ci zamłodu — „śpiewający kelnerzy".

Biednym chłopcem z nowojorskiego East-Side'u był także Al. Jolson. Jego ojciec jako kantor sy-

nagogalny zarabiał bardzo skąpo i nie mógł dać synowi wykształcenia. Al. Jolson musiał więc również w pierwszej fazie swego rozwoju przejść przez chrzest kelnerskiego zawodu, by później stać się sławnym pieśniarzem w filmach dźwiękowych. Gwiazda Jolsona nieco juz zbladła na firmamencie Dziesiątej Muzy. Nie przeszkadza mu to jednak brać jeszcze obecnie za występ radiowy przeszło dwa tysiące dolarów.

Inną zgoła sławę, już nie artysty, lecz prawnika, osiągnął zmarły niedawno sędzia Rozalsky, przewodniczący sądu kryminalnego w Nowym Jorku. Rozalsky pochodził z ubogiej rodziny, mieszkającej w dzielnicy żydowskiego ghetta. Jako młody chłopiec włóczył się po Nowym Jorku i był jednym z owego licznego legionu dzieci, których wychowuje ulica.

Wielki rozgłos zyskała w Ameryce książka, p. t. „Jak zostałem sędzią“? Autor tej książki nazwiska swego nie ujawnił i ukrywa się pod pseudonimem. Przedstawia ona dzieje pewnego ulicznika, który po różnych perypetiach i dziwnym zrządzeniom losu stał się popularnym sędzią w Nowym Jorku. W tym chłopcu, wychowanym na bruku nowojorskim, odezwała się nagle gwałtowna chęć nauki. Pokonawszy liczne trudności wstąpił do gimnazjum, które ukończył z odznaczeniem i poświęcił się studiom prawniczym. Po

ukończeniu studiów szukał bezskutecznie zajęcia w dziedzinie swej specjalności. Nie mając innej rady — wrócił do dawnych kamratów z nowojorskiego półświatka. Ci dawni towarzysze uliczni, dziś już dojrzali przestępcy i gangsterzy, przyjęli go bardzo serdecznie. Nie brał jednak bezpośredniego udziału w ich czynach przestępnych. Był obecny na ich libacjach i od czasu do czasu otrzymywał trochę grosza po obfitszych łupach. Sprawował u nich wysoki i zaszczytny urząd rozjemcy. Kiedyś, po takiej libacji udała się wesoła brać z „mecenasem“ na czele do jednego z podrzędnych hotelików, by po pracowitych wyczynach przespać spokojnie noc. W ubraniach zwalili się na łóżka i twardo zasnęli. Właścicielka hotelu, zapewne z przyzwyczajenia, przeszukała kieszenie śpiących gości. W kieszeni mecenasa nie znalazła ani jednego centa, natomiast wyczytała w dokumentach, że ma do czynienia z prawnikiem. Nazajutrz zwróciła się do niego i zaproponowała objęcie procesu, przy którym w razie wygranej dużo można zarobić. Opowiedziała mu mianowicie, że brat gubernatora nowojorskiego zdeflorował jej siostrę i z tego tytułu domaga się rodzina poszkodowanej olbrzymiego wynagrodzenia.

Młody prawnik nie zastanawiając się długo poszedł natychmiast do gubernatora. Wyłożył przed nim w detalach całe wydarzenie i dał do zrozu-

mienia, że grozi przykry skandal towarzyski. Zaznaczył przy tym wcale niedwuznacznie, że cała ta sprawa ucichnie, jeżeli on, gubernator, zamianuje obrońcę skrzywdzonej dziewczyny sędzią Criminal Curt.

W przeciągu dwuch dni młody prawnik mianowany został sędzią i dzięki niezwykłym zdolnością szybko awansował, zyskując w Stanach Zjednoczonych wielką popularność.

W Ameryce opowiadają sobie, że autorem tej książki był właśnie ów bardzo lubiany i niedawno zmarły sędzia.

## WODOSPAD NIAGARA.

Po dłuższym pobycie w Nowym Jorku postanowiłem odbyć podróż po prowincji. Bo Ameryka to nie tylko Nowy Jork. Aby poznać wszechstronnie Stany Zjednoczone nie można ominąć prowincji z wieloma charakterystycznymi miastami i miasteczkami.

Podróż jednak po Ameryce nie należy do rzeczy łatwych. Pociągi, będące własnością prywatną, są tutaj bardzo drogie. Nie honoruje się żadnych ulg dla dziennikarzy. Zaproponowano mi więc podróż autobusem, która z dwóch względów mogłaby się okazać dogodna. Primo: autobus jest środkiem komunikacyjnym trzykrotnie tańszym od pociągu, secundo: autobusem podróżują średnio-zamożne i ubogie warstwy społeczeństwa, miałbym zatem bezpośredni kontakt z amerykańskim ludem. Te argumenty przemówiły do mego przekonania i pozostało tylko wybrać odpowiednie towarzystwo, by zapewnić sobie spokojną i bezpieczną podróż. Jako najsolidniejsze wskaza-

no mi towarzystwo o dziwacznej nazwie „Szary pies".

Wodospad Niagara był pierwszym celem mej podróży. Podróż do wodospadu trwa dość długo. Znajduje się on w odległości dziewięciuset mil, a więc przeszło tysiąca sześciuset kilometrów od Nowego Jorku. Koleje amerykańskie jadą z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę, autobusy z szybkością zaledwie pięćdziesięciu. Podróż trwać zatem będzie około czternastu godzin.

Sadowię się do pełnego autobusu i ruszamy. Moją bezpośrednią sąsiadką w samochodzie była młoda dziewczyna, z twarzy i figury typowa amerykanka. W pewnej chwili zwróciła się do mnie słowami, których nie mogłem zrozumieć i wskazała mi gazetę z fotografią jakiegoś mężczyzny. Jak się okazało była to podobizna znanego bandyty amerykańskiego, dopiero co schwytanego przez policję. Pragnąłem nawiązać rozmowę z miłą sąsiadką i próbowałem różnych języków, ale bezskutecznie. Kiwała przecząco główką na znak, że nie rozumie. Pozostał jeden język, „międzynarodowy" język żydowski. Uśmiechnęła się uradowana i zaczęliśmy gawędzić. Językiem żydowskim władała dość kiepsko, mieszając go obficie angielszczyzną, podobnie jak wszyscy Żydzi urodzeni w Ameryce. Poinformowała mnie, że znajdujemy się właśnie w części New-Jersey,

zamieszkanej gęsto przez Polaków. Na najbliższej stacji wcisnęło się do autobusu jeszcze kilku pasażerów. Byli to zamerykanizowani Polacy. Rozmawiali ze sobą po angielsku. Ja ich jednak zagadnąłem w języku polskim. Dźwięk mowy ojczystej zdziwił ich niezmiernie. Okazało się, że polskim władają gorzej, niż moja sąsiadka żydowskim.

Autobus mknął naprzód po gładkiej, asfaltowej szosie. Przyglądałem się miastom i miasteczkom, jakie mijaliśmy po drodze. Wszystko tutaj stanowiło wyraźny kontrast z Nowym Jorkiem. Zamiast drapaczy chmur stały po obu stronach drogi małe, drewniane domki, okolone sadami i ogrodami. Każdy domek posiadał obszerny taras, na którym bawiły się dzieci. Pod wieczór, gdy skwar dnia ustępował, spożywano na tarasach kolacje.

W barach i restauracjach, jakie zwiedzaliśmy w czsie postoju autobusu, pełno było ludzi. Panowała tu jednak inna atmosfera, niż w lokalach Nowego Jorku. Nie wyczuwano tutaj owego gorączkowego tempa, które porusza życiem wielomilionowego miasta. Ludzie w spokoju ducha siedzieli przy stolikach, spożywali bez pośpiechu, gawędzili lub czytali gazety.

Wieczorem jechaliśmy zgodnie z amerykańskimi zwyczajami przy zgaszonych światłach. Wielu podróżnych drzemało. Autobus zatrzymywał się

rzadko, ponieważ wszyscy podróżni jechali do Bufallo, ostatniej stacji przed Niagarą. Mimo szybkiej jazdy przybyliśmy do Bufallo z godzinnym opóźnieniem.

Na stacji murzyn wyrwał mi walizkę z ręki i zaproponował tani hotel. Nie miałem jednak zbyt wielkiego zaufania do natarczywego przewodnika. Konduktor autobusu spostrzegł me wahanie i zapewnił, że jest to oficjalny tragarz. Murzyn zaprowadził mnie do hotelu, niedaleko stacji autobusowej. Dość obszerny i wygodnie urządzony pokój kosztował nie więcej jak siedemdziesiąt pięć centów. Murzyn dostał za fatygę dwadzieścia. Głębokim ukłonem podziękował za szczodrą zapłatę.

Wyszedłem na spacer. Bufallo przedstawiało o tej godzinie zupełnie wymarłe miasto. Nie chciało się poprostu wierzyć, że wszystko spoczywa już w błogim śnie. Tylko w lokalach rozrywkowych spotkałem jeszcze małą garstkę spóźnionych i zaspanych obywateli.

Nazajutrz siedziałem znowu w autobusie towarzystwa „Szary pies“. Podróż do Niagary trwała niecałą godzinę. Autobus stanął obok wytwornego hotelu. Czekali już tutaj liczni szoferzy, którzy za opłatą „tylko“ trzech dolarów proponowali zawieźć nas do wodospadu i pokazać wszystkie jego przepyszne urządzenia. Skoro zauważyłem,

że Amerykanie płacą żądaną sumę, zająłem również miejsce w taksówce. Aby obejrzeć wodospad w całości trzeba przekroczyć granicę Kanadyjską. Jako cudzoziemiec mógłbym natrafić na przeszkody, wolałem zatem zwiedzić wodospad razem z amerykanami.

Po kilku minutach jazdy byliśmy obok wodospadu. Otwarła się przed nami wspaniała panorama: wielkie ściany wodne spadają głęboko w dół. Oszałamia nieustanny szum spadających strumieni. Gwałtowny spadek wód z wysokiej ściany skalnej tworzy w rzece olbrzymie, śnieżno-białe bałwany. Wprowadzają nas do budynku, gdzie mieści się restauracja oraz sklep z najrozmaitszymi pamiątkami. Zwiedzający kupują liczne drobiazgi pamiątkowe. Niebawem mamy się opuścić w dół, do rzeki, pod spadek wielkich wód. Jedziemy dźwigiem do tunelu. Tam ubieramy na siebie gumowe płaszcze, wciągamy wysokie buty z cholewami i powoli, człapiąc, zbliżamy się do miejsca, gdzie masy wodne spadają do rzeki. Jak biczem uderzają w twarz zielone strumienie Niagary. Emocja nasza osiąga punkt kulminacyjny, gdy wsiadamy do wąskich łodzi motorowych, które szybko jak strzała prują wzburzone fale szerokiej rzeki. Po godzinie emocjonującej jazdy wysiadamy na brzeg. Jesteśmy zupełnie przemoknięci. Chociaż późny październik — słońce grzeje jak

w czerwcu. Schniemy na poczekaniu w jasnych ciepłych promieniach. Szofer poleca nam gorące wino. Jeden ze zwiedzających, staruszek, który przekroczył już chyba dziewiąty krzyżyk, łapie mnie za rękę i wciąga do pierwszego lepszego baru zamawiając mocny grog dla nas obu.

— Nie może pan sobie wyobrazić, jak bardzo jestem tego dnia szczęśliwy — rzekł do mnie starzec, słabiutkim, sciszonym głosem. Mieszkam całe życie na Kubie. Od moich dzieci, wnuków i prawnuków wiele nasłyszałem się o Niagarze, ale nigdy nie miałem okazji na własne oczy ujrzeć wspaniały wodospad. Jestem bliski śmierci i za wszelką cenę postanowiłem go zobaczyć. Mój wnuczek, inżynier z zawodu, nie chciał mi pozwolić na tak długą podróż. Oświadczyłem mu kategorycznie, że żadna siła nie zdoła mnie od tego zamiaru odwieść. Pojechałem. Czterodniowa podróż statkiem przeszła szczęśliwie. Z Nowego Jorku do Niagary jechałem pociągiem. Czuję się znakomicie. Dopiąłem swego! A teraz — na zdrowie, mój kochany przyjacielu!

Wychyliliśmy duszkiem dwie szklanki mocnego grogu.

Zwiedziliśmy wodospad również ze strony kanadyjskiej. Stany złączone są z Kanadą niewielkim mostem. Straż graniczna nie robi żadnych trudności przy przejściu na drugą stronę. Wnosisz

dziesięciocentową opłatę i przyrzekasz solennie, że przekraczasz granicę wyłącznie w celu obejrzenia wodospadu. Widok, jaki się teraz przed nami rozspostarł, był jeszcze piękniejszy od tego, który podziwialiśmy po stronie amerykańskiej. Szerokie strumienie wody spadają tutaj z większą jeszcze siłą i pasją. Po drodze napotykają na urwiste skały i rozpryskują się z szumem. Szkwały wodne, rozbite na tysiączne drobne fale, spadają z łoskotem w rzekę, pieniąc ją i burząc.

Do uroczego zakątka Niagara Falls przybywają ...czne młode parki, by spędzić tutaj swe miodowe, poślubne dni. W Ameryce podróże poślubne są bardzo popularne. Bogatsi jadą na Florydę, na Kubę i do Kalifornii. Mniej zamożni zadowolić się muszą Niagarą, gdzie natura niemniejsze zresztą rozrzuciła bogactwa. Tutaj, w obliczu wspaniałej ...rozji wód, rozkwita ich gorąca miłość.

## W KRÓLESTWIE FORDA.

Z Niagary do Detroit jechałem przez Kanadę. Tędy bowiem wiedzie najkrótsza droga do Dearborn, siedziby Forda. Poza tym pragnąłem poznać, chociażby powierzchownie, i tę część Ameryki, która stanowi angielskie dominium. Niemal natychmiast po przekroczeniu granicy pejzaż zmienił się zupełnie. Jeżeli po stronie Stanów Zjednoczonych napotykaliśmy na gęsto zaludnione miasta i miasteczka, to jadąc przez Kanadę mijaliśmy olbrzymie tereny, gdzie w promieniu wielu kilometrów nie można było dostrzec najmniejszego osiedla ludzkiego. Znaczne połacie kraju zajęte są tutaj przez pola i łąki. Dochodził nas zewsząd odurzający zapach siana. Kiedy niekiedy mijaliśmy po drodze barwnie ubranych chłopów kanadyjskich, których stroje żywo przypominały nasze, łowickie. W miasteczkach, gdzie zatrzymywał się autobus, panował znacznie większy spokój, niż po stronie amerykańskiej. Język, jakim mówili tutaj Kanadyjczycy, był dźwięczniejszy i bardziej dla

ucha melodyjny, niż twarda angielszczyzna obywateli Stanów. Przez cały czas podróży nikt do naszego autobusu nie przybył. Zjawisko to wytłumaczył mi szofer. Mieszkańcy Kanady bardzo niechętnie posługują się środkami komunikacyjnymi, należącymi do amerykańskich towarzystw. Jako zagorzali patrioci uważają za stosowne popierać przede wszystkim własne przedsiębiorstwa.

Była już dość późna godzina, gdy przybyliśmy do tunelu, łączącego Kanadę ze Stanami. Tutaj, na samej granicy, spotkał mnie przykry i niespodziewany incydent. W centrali towarzystwa autobusowego w Nowym Jorku poinformowano mnie, że mogę śmiało i bez wahania jechać przez Kanadę, gdyż moja wiza amerykańska jest jeszcze ważna na przeciąg kilku tygodni. Nie przeczuwając zatem nic złego, obserwowałem ze spokojem, jak urzędnicy celni przetrząsali bagaże pasażerów. Nie niepokoił mnie również fakt, że następnie brali każdego z osobna na przesłuchanie. Niektórzy obywatele amerykańscy nie posiadali nawet paszportów, lecz zawodowe oko urzędnika z łatwością poznawało „swoich". Nie robiono też żadnych trudności Kanadyjczykom. Paszport bowiem kanadyjski daje możność do przekroczenia granicy Stanów bez żadnych ograniczeń. Inaczej zupełnie przedstawiała się sprawa, gdy urzędnicy celni zabrali się do mnie. Wśród podróżnych by-

łem jedynym europejczykiem. Po dokładnym obejrzeniu paszportu zadali mi kilkanaście szczegółowych pytań. Pragnęli się dowiedzieć, co robię w Ameryce, w jakim celu jadę do Detroit, czy długo zamierzam tam pozostać i t. d. Pokazałem im wszystkie dokumenty, wizę powrotną, bilety do Nowego Jorku, kartę okrętową do Europy. Wysłuchali mnie uważnie i z namaszczeniem zabrali się do przejrzenia dokumentów. Przeliczyli nawet pieniądze, jakie miałem przy sobie.

Byłem przekonany, że po tych wszystkich penetracjach przepuszczą mnie bez przeszkody. Wszyscy podróżni siedzieli już dawno w autobusie, a szofer czekał tylko na dziwacznego pasażera z Europy, którego straż celna z jakiejś przyczyny zatrzymała. Urzędnicy ulotnili się tymczasem wraz z dokumentami, a ja pozostałem sam jeden w obszernej, szarej poczekalni. Te dwadzieścia minut, jakie przeczekałem w ponurej sali, wydawały mi się wielogodzinnym udręczeniem. Wreszcie zjawili się znowu panowie urzędnicy i z dobrotliwym uśmiechem zwrócili mi paszport, pozwalając przekroczyć granicę. Jeden z nich grzecznie wytłumaczył, dlaczego formalności, związane z moją osobą, trwać musiały tak długo. Trzeba było porozumieć się telefonicznie z Nowym Jorkiem, gdyż wyższy urzędnik celny, który zawsze w tych sprawach decyduje, tym ra-

zem nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności. Nie dużo zatem brakowało, a miałbym zamkniętą drogę do Stanów. Informacja towarzystwa autobusowego w Nowym Jorku okazała się oczywiście fałszywą. Nie żywiłem jednak żadnej pretensji do moich informatorów. Przekonałem się raz jeszcze, jak mało ufać należy informacjom wszelkich towarzystw podróży.

*
* *

Detroit, chociaż liczy milion mieszkańców, jest typowym prowincjonalnym miastem. Posiada ono jednak wielką atrakcję, przyciągającą gromady ludzi nie tylko z Ameryki, ale nawet z całej kuli ziemskiej. Atrakcją tą jest fabryka samochodów Henri Forda. Nie znajduje się ona w samym mieście, lecz w Dearborn, w pobliżu Detroit. Do Dearborn, nazwanym powszechnie „Królestwem Forda", pojechałem tramwajem. Kilka razy musiałem się przesiąść. Gdy wysiadłem na ostatniej stacji nie mogłem się w żaden sposób zorientować w labiryncie bloków i zabudowań. Rozglądałem się na wszystkie strony i szukałem wejścia do fabryki. Zauważył to przechodzień, którego szara, robocza bluza świadczyła, że pracuje w tej fabryce. Instynktownie zagadnąłem go w języku ży-

dowskim, gdzie się mieści dyrekcja. Nieznajomy spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem i wskazał duży, biały budynek. Okazało się po chwili, że robotnik ten jest istotnie Żydem i pochodzi — z Warszawy. Dwadzieścia osiem lat temu opuścił Polskę, jako emigrant polityczny. Był w Warszawie założycielem związku robotników-metalowców. Jako wykwalifikowany robotnik przyjęty został do fabryki Forda. Od niego dowiedziałem się, że otrzymanie pracy u Forda nie należy obecnie do rzeczy łatwych.

W dyrekcji przyjęto mnie z poprawną, urzędniczą grzecznością. Gdy przedstawiłem legitymację — przydzielono mi jednego z najlepszych znawców terenu fabrycznego, niejakiego Mr. Smith'a, władającego płynnie po niemiecku. Samochód wiózł nas po całym terenie Dearborn'u. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć — tysiące aut. Przewodnik wyjaśnia, że należą one nie do fabryki, lecz do robotników. Niemal wszyscy robotnicy posiadają własne auta i przyjeżdżają nimi do pracy.

Mr. Smith zasypuje mnie bez przerwy cyframi. Fabryka Forda zużywa w ciągu doby pięćset dziewięćdziesiąt milionów galonów wody, czyli więcej niż Waszyngton, Cleveland i Cincinnati razem wzięte. W fabryce pracuje obecnie siedemdziesiąt tysięcy robotników. W czasach „pro-

sperity" zatrudniono sto tysięcy. Codziennie wydaje fabryka dwa i pół tysiąca nowych samochodów. W czasach dobrej koniunktury produkowano dziennie przeszło sześć tysięcy. Fabryka jest czynna pięć dni w tygodniu, wyłączając sobotę i niedzielę. Pięciodniowy tydzień pracy został wprowadzony zgodnie z najnowszą reformą Roosevelta. Płaca robotników wynosi conajmniej trzydzieści dolarów tygodniowo.

Dokładne poznanie całego terenu fabryki i wszystkich jej urządzeń trwałoby najmniej tydzień. Przewodnik ogranicza się zatem do wskazania mi głównych etapów produkcji. Mam przed sobą surową, żelazną rudę. W ciągu pięćdziesięciu dwóch godzin bezkształtne żelazo zamienia się w auto. Na licznych wydziałach wykonywane są poszczególne części samochodu. W całej tej produkcji człowiek odgrywa bardzo nieznaczną rolę. Maszyny, produkujące samochody, obsługuje kilku zaledwie robotników i paru inżynierów-specjalistów. Tylko w odlewniach spotkałem większą ilość robotników, przeważnie murzynów. Panuje tutaj niezwykle wysoka temperatura, którą biali znoszą z trudem. Poszczególne części samochodów wędrują z jednej sali do drugiej zupełnie bez pomocy ludzkich rąk. Wiesza się je na drutach i za pomocą siły elektrycznej posuwają się

naprzód aż do miejsca przeznaczenia. Automat z powodzeniem zastępuje człowieka.

Blisko dwieście kobiet pracuje w fabryce Forda. Wykonywują one wyłącznie lżejsze roboty. Przy fabryce znajduje się Szkoła Techniczna, która co roku kształci trzystu młodocianych robotników. Uczniowie tej szkoły otrzymują bezpłatny wikt. Fabryka posługuje się nimi, jako praktykantami przy najrozmaitszych robotach.

— Nie żądamy od nich bezpłatnej pracy. Otrzymują dwadzieścia pięć centów za godzinę! — podkreśla dobitnie mój przewodnik.

Usiłuje mnie przekonać, że Ford płaci swym robotnikom najwyższe w Ameryce gaże, że jego stosunek do sfer pracujących jest nawskroś humanitarny i demokratyczny. Nie wiem, ile prawdy jest w tym, co mówi Mr. Smith. Blade i wymęczone twarze, jakie spotykałem w tej fabryce na każdym kroku, świadczyły o czymś wręcz przeciwnym.

Nadeszła pora posiłku. Przyglądałem się, jak robotnicy spożywają lunch. Ford nie zajmuje się dostawą jedzenia do swych fabryk. Wyłączną koncesję na to posiada pewna firma z Detroit. Produkty żywnościowe sprowadza się do fabryki na specjalnych wózkach. Za piętnaście centów otrzymuje robotnik dwa sandwich'e, przekładane mięsem lub serem, owoce, kompot oraz szklankę

białej kawy. Jedzenia opakowane są wzorowo, w czystej, papierowej tutce, a kawa podawana jest w dzbaneczku z tektury. Specjalnej jadalni fabryka nie posiada. Robotnicy spożywają na salach maszynowych i w odlewniach. Nie uszło mojej uwadze, że czarni i biali jedli oddzielnie. Murzyni przykucnęli na brudnych podłogach, biali spożywali stojąc. Czyżby nawet wśród proletariatu amerykańskiego istniały animozje rasowe?

Na posiłek wyznaczono tylko pół godziny. Jak informuje przewodnik ustalono tak krótki okres czasu za zgodą robotników, którzy wolą wcześniej opuścić fabrykę.

Wśród pracowników Forda spotkałem sporo Polaków. Nawiązuję rozmowę ze starszą pracownicą, która trzydzieści lat temu wyemigrowała z Polski. Mąż jej w ciągu dwudziestu lat pracował w tej fabryce. Pięć lat temu zachorował ciężko na gruźlicę i zmarł. Pozostała z dwojgiem dzieci sama bez środków do życia. Jeden z dyrektorów Forda, litując się nad losem biednej wdowy dał jej zajęcie w fabryce. Z zarobku żyje obecnie cała rodzina.

— Ilu Żydów zatrudnia fabryka Forda? — pytam przewodnika.

— Bardzo wielu pracuje w biurach. Niektórzy zajmują odpowiedzialne stanowiska. Nie brak ich również na salach fabrycznych. Ford nie jest an-

tysemitą — zapewnia mnie Mr. Smith. Dał się coprawda przez krótki czas zaagitować przez grupę żydojadów, ale szybko z nimi zerwał. Przekonał się, że są to zwyczajni kombinatorzy, którzy żerują na jego naiwności.

Pragnę jeszcze zwiedzić niektóre instytucje o społecznym i filantropijnym charakterze, jakie Ford rzekomo miał stworzyć. Okazuje się, że domów mieszkalnych dla robotników fabryka nie posiada. Nie uznaje się tu również żadnych ubezpieczeń socjalnych. Wprowadzono mnie natomiast do małego szpitalika, gdzie robotnicy otrzymują pierwszą pomoc lekarską w nagłym wypadku. I to wszystko.

## FILANTROPIJNE ZAKŁADY DLA — MILIONERÓW.

Miałem już opuścić Dearborn, gdy Mr. Smith oznajmił, że dyrektorzy Forda zaprosili mnie na lunch. W obszernej jadalni stał bogato nakryty stół. Niebawem przybyli dyrektorzy tutejszej fabryki oraz przedstawiciel Forda na Europę, który przyjechał do Dearborn na parę dni. W czasie lunchu wywiązała się rozmowa na temat motoryzacji w Polsce. Dyrektorzy z zainteresowaniem przysłuchiwali się moim wywodom. Mówiłem o dążeniach naszych władz do rozwinięcia automobilizmu, polepszenia dróg, zmniejszenia cła na maszyny zagraniczne i t. p. Dyrektorzy zaś ze swej strony, podobnie zresztą jak to uczynił Mr. Smith, uważali za konieczne podkreślić, że Ford zmienił zupełnie swój dotychczasowy stosunek do Żydów, że odtąd łączą go z narodem Izraela węzły szczerej sympatii. Poza tym, aby rozwiać zupełnie moje wątpliwości co do nagłej zmiany zapatrywań Forda, przedstawiono mi kilku urzędni-

ków-Żydów, którzy zajmują w fabryce odpowiedzialne stanowiska. Wyprowadzono również „na pokaz“ paru polskich robotników, z którymi wdałem się w rozmowę. Płace robotników — jak wynikało z ich informacyj — są tutaj w porównaniu z innymi fabrykami istotnie dość wysokie. Ale same warunki pracy są ciężkie. Urzędnicy Forda, czuwający nad całością produkcji, posiadają niezwykłą zdolność wydobywania z robotników maximum energii i intensywności. Wyrozumiałość i współczucie — to pojęcia tutaj zupełnie obce. Z chwilą, gdy robotnik przestaje dawać z siebie owe maximum możliwości, natychmiast, bez żadnego odszkodowania, zostaje usunięty. Prawodawstwo amerykańskie nie zna ubezpieczeń na wypadek bezrobocia, choroby lub śmierci. Kapitaliści z własnej inicjatywy nie kwapią się również z wprowadzeniem tych reform. Ford głosi coprawda piękne hasła o potrzebie ubezpieczeń socjalnych, sam jednak ogranicza się prawie wyłącznie do ładnych gestów i nie mniej efektownych, a w rzeczywistości przecież do niczego nie obowiązujących obietnic.

Po spożyciu lunchu Mr. Smith zaofiarował się, by mi pokazać wspaniały szpital Forda, będący podobno jednym z największych jego osiągnięć na polu filantropii społecznej. Wsiedliśmy do wytwornej limuzyny marki Lincoln. Ford produkuje

nie tylko najtańsze na świecie maszyny, ale i najdroższe. Do takich luksusowych maszyn zaliczone są auta marki Lincoln. Wykonywa się je zazwyczaj na specjalne zamówienie. Cena takiej limuzyny sięga często piętnastu, a nawet pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Któż bowiem zdoła odgadnąć, jakie wyszukane kaprysy poruszają umysłami wszystkich milionerów świata!

Mr. Smith podaje kilka ciekawych szczegółów, dotyczących historii szpitala. Jeszcze sześć lat temu należał szpital do magistratu miasta Detroit, który dokładał doń rok rocznie olbrzymie sumy. Zarząd miasta, nie mogąc dłużej finansować tej imprezy, zwrócił się z apelem do milionerów-filantropów o przejęcie szpitala. Ofertę zarządu przyjął Ford. Dokłada on co roku do szpitala setki tysięcy dolarów.

Mogłoby się zdawać, że taki szpital przeznaczony jest przede wszystkim dla najuboższych warstw społecznych, że śpieszy z pomocą lekarską najbiedniejszym, zwłaszcza wskutek braku w Stanach Zjednoczonych ubezpieczalni społecznych. Jakże więc ogromne było moje zdziwienie, gdy dowiedziałem się, że szpital Forda nietylko nie jest dostępny dla ludzi pracy, ale nawet i dla sfer średnio-zamożnych. Na kurację w tym szpitalu mogą pozwolić sobie wyłącznie bogacze. Lekarze pobierają bowiem olbrzymie honoraria, a za

operację płaci się tutaj fantastyczne wprost sumy.

W drodze do szpitala opowiada mi jeszcze Mr. Smith ciekawe szczegóły ze swego życia. Wyjawił mi przede wszystkim prawdziwy swój wiek; liczy siedemdziesiąt dwa lata. (Byłem przekonany, że nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki!) Każdego roku poddaje się oględzinom lekarskim w szpitalu Forda. Badają go lekarze wszystkich specjalności. Płaci za to sumkę — sto dolarów. — Ale warto — dodaje z zadowoleniem. Świadomość, że jestem zupełnie zdrów, dodaje mi otuchy i chęci do dalszej pracy, której mógłbym się coprawda już oddawna zrzec. Pieniędzy mam bowiem dość, poza tym ubezpieczony jestem na sporą sumę, która zostanie mi w tym właśnie roku wypłacona. Ale w jakim celu zrezygnować z pracy, skoro czuję się dobrze, a lekarze wystawiają mi najlepsze świadectwa?

Wreszcie znajdujemy się u wrót szpitala. Przed nami wznoszą się liczne zabudowania szpitalne, oddzielone od siebie troskliwie pielęgnowanymi skwerami. Po szerokich, jasnych pawilonach szpitala oprowadza mnie kobieta-lekarz. Poznaję wszystkie najnowsze urządzenia i maszyny. Zaglądam również do laboratoriów. W te wszystkie bogactwa wyposażył szpital Henri Ford. Kosztowało to wiele milionów dolarów. Wybitni lekarze posiadają tutaj własne pracownie i opłacani suto

przez zarząd szpitala — poświęcają się wyłącznie pracy naukowej.

Podczas zwiedzania szpitala napomknąłem Smithowi, że jestem nieco przeziębiony. Zakomunikował to odrazu lekarce, która z kolei skierowała mnie do specjalisty chorób wewnętrznych. Lekarz badał mnie skrupulatnie, po czym zapisał lekarstwo, które w ciągu godziny miało zostać sporządzone w aptece szpitala. Pod koniec wizyty zapytałem o wysokość należnego honorarium. Lekarz, miast odpowiedzi, zadzwonił dokądś, widocznie w mojej sprawie, po czym oświadczył:

— Trzy dolary.

Cena śmiesznie niska, odbiegała znacznie od normalnego honorarium w tym szpitalu, wynoszącego przeciętnie — dziesięć dolarów.

Po godzinie, gdy zgłosiłem się po odbiór lekarstwa, wyszedł mi na przeciw lekarz, który mnie badał.

— Zwolniłem się umyślnie z pracy, aby z panem nieco pogawędzić — rzekł witając mnie serdecznie.

Przyznam się — pogawędka ta nie była mi wcale na rękę. Autobus za godzinę odjeżdżał do Chicago i pragnąłem skorzystać jeszcze z wolnej chwili i odbyć spacer po mieście. Na nic się zdały moje argumenty. Szofer zawiózł nas do najbliższej restauracji, gdzie na miłej rozmowie

upłynęła godzina. Rachunek za konsumpcję wynosił sześć dolarów. Gdy lekarz spostrzegł, że sięgnąłem do kieszeni po pieniądze, oburzony chwycił mnie za rękę:

Jak mogło panu coś podobnego strzelić do głowy? — i zanim zdołałem się zorientować — uregulował należność.

W rezultacie: ja za badanie zapłaciłem lekarzowi trzy dolary, a on za swą gościnność — sześć.

O tym zabawnym wydarzeniu z obcym mi przecież zupełnie lekarzem opowiedziałem Smithowi. Postępowanie sługi Eskulapa nie zdziwiło ani trochę dobrodusznego przewodnika.

— Dla gości gotowi jesteśmy uczynić wszystko. Wy, europejczycy jesteście najpewniej nie mniej od nas gościnni.

Nie śmiałem zaprzeczyć...

## W RZEŹNI CHICAGOWSKIEJ.

Chicago, trzecie pod względem wielkości miasto świata, słynie ze swych gangsterów, będących postrachem całej Ameryki, oraz z największej na świecie rzeźni.

Rzeźnia „Stocks Jards“ w Chicago zajmuje olbrzymi teren. Jest ona jakby samodzielnym miastem, z własnym magistratem, własną policją, telegrafem i t. d. Biuro miliardowej firmy Swifth et Co., do której należy rzeźnia, zorganizowało specjalny dział propagandy z licznym sztabem urzędników, których jedynym zadaniem jest zaznajomienie zwiedzających ze wspaniałymi urządzeniami rzeźni. A liczba turystów w Chicago jest zawsze pokaźna.

Zwiedziłem rzeźnię w sobotę. Tego dnia nie odbywa się tutaj ubój według rytuału żydowskiego. Miałem natomiast sposobność przyjrzenia się „humanitarnemu“ ubojowi bydła — sposobem mechanicznym.

Nasz przewodnik podaje parę danych staty-

stycznych. W przeciągu jednej godziny ubija się tutaj 180 wołów i 400 cieląt. Świń — 4000 dziennie. Firma Swifth et Co. sprzedaje nietylko surowe mięso, lecz również wszelkiego rodzaju wędliny i wyroby mięsne oraz ekstrakty chemiczne, używane w różnych gałęziach produkcji.

— U nas, jak w przyrodzie, nic nie ginie — informuje przewodnik. Wszystko co można ze zwierzęcia wydobyć, zostaje przez naszych specjalistów należycie wyzyskane. Dlatego firma nasza może tanio sprzedawać swe wyroby zarówno w kraju, jak i na eksport.

Wskazuje nam przy tym tabele, z których wynika, że przedsiębiorstwo posiada liczne oddziały w Ameryce, a towary swe rozpowszechnia na całej kuli ziemskiej.

Przechadzając się po niezliczonych, olbrzymich spichrzach, pełnych ubitego mięsa, spostrzegłem na wielu wołach pieczęć: „koszerne". W odpowiedzi na moje pytanie przewodnik wyjaśnia, że firma zatrudnia duży personel Żydów-rzezaków, którzy dokonywują uboju ściśle według przepisów żydowskiego rytuału. Dowiaduję się również o bardzo ciekawym szczególe: koszernego mięsa używa w Ameryce wielu chrześcijan, którzy utrzymują, że mięso ubite według rytuału żydowskiego jest o wiele zdrowsze i higieniczniejsze, niż ubite sposobem mechanicznym. Teraz dopiero

zrozumiałem, dlaczego na Broodway'u i w innych dzielnicach Nowego Jorku jest tak wiele żydowskich jatek.

Długo trwało, zanim wprowadzono nas do oddziałów, w których odbywa się właściwy ubój. Przed wejściem uprzedził nas przewodnik, że osoby o słabych nerwach winne raczej pozostać nazewnątrz spichrzów, nie wszyscy bowiem mogą obojętnie przyglądać się ubojowi. Istotnie wielu zwiedzających, a zwłaszcza kobiety, pozostało na korytarzu. Już pierwsze wrażenie było nieszczególnie przyjemne. Ze śpichrzu, do którego zbliżaliśmy się, dochodziły dzikie krzyki bydła i trzody chlewnej. Gdy się drzwi otwarły, ujrzeliśmy okrutną scenę, która wszystkimi wstrząsnęła do głębi i zmroziła krew w żyłach. Rzeźnicy, zbroczeni od stóp do głów czarną, lepką krwią, długimi nożami odcinali głowy każdemu zwierzęciu, które obok nich przechodziło. Rzeźnicy — murzyni z błyszczącymi oczyma, z zakasanymi rękawami, o twarzach osłupiałych i groźnych, sprawiali sami wrażenie dzikich zwierząt.

To, cośmy tutaj widzieli, było już finałem uboju, gdyż przedtem bydło zostaje ogłuszone. Zbliżamy się do końca długiego śpichrza. Stoją tam w rzędach dziesiątki sztuk bydła. Obok murzyni, z grubymi żelaznymi obuchami w rękach, zadają ciosy każdemu zwierzęciu z osobna. Rozlega

się straszliwy wrzask. Nieszczęśliwe zwierzę ni ma nawet możności stawienia oporu. Po ogłusze niu otrzymuje silne kopnięcie w brzuch. W chwil później znajduje się już w wąskim przejściu, pro wadzącym na prawdziwą, ostateczną rzeź. Stwier dziliśmy wszyscy naocznie niesamowite cierpie nia zwierząt mimo ogłuszenia obuchem. Ponowni zbliżyliśmy się do miejsca, gdzie stali murzyni uzbrojeni w długie, czerwoną posoką ociekające noże. Nieszczęsne zwierzęta tarzały się przez kil ka minut w kałużach ciepłej krwi. Ich ciała rzu cające się bezradnie, wstrząsane otwartym, zieją cym bólem, przedstawiały widok nie do zniesienia Nie dawano ofiarom spokoju. Wnet przybiegal inni murzyni, pociągali leżące cielska zwierzą za nogi i wieszali je na drewnianych klocach Zwierzę w drgawkach przedśmiertnych męczyło się jeszcze conajmniej pięć minut.

Obejrzałem się. Ze zwiedzających pozostała już tylko garstka. Większość nie mogąc przyglądać się okrutnym scenom opuściła pośpiesznie rzeźnię.

Ktoś z naszej grupy zażądał, aby pokazano nam jeszcze, jak się odbywa ubój świń. Przewodnik zaprowadził nas do obszernego budynku. Kwik świń, dochodzący zdala, był tak piekielny że nikt nie miał odwagi wejść do wnętrza.

Pytam przewodnika, dlaczego przy rzeźni zatrudnieni są jedynie murzyni. Okazuje się, że

biali nie chcą podjąć się takiej pracy. Firma niejednokrotnie proponowała za tę robotę wysokie płace. Chciała zatrudniać białych poto, by zwiększyć konsumpcję mięsa. Nie znalazł się jednak nikt, nawet z pośród zawodowych złodziejów i gangsterów, ktoby posadę taką zechciał objąć.

— Jak odbywa się „szechita"? — pytam wreszcie przewodnika.

— Najlepiej byłoby — odparł — gdyby pan wstąpił do nas innego dnia, nie w sobotę. Obejrzałby pan wszystko na własne oczy. Mogę tylko pana o jednym zapewnić: żydowskiemu ubojowi przyglądają się setki zwiedzających. Nikt nie mdleje i nikt nie ucieka. Przeciwnie, wszyscy podziwiają zręcznych rzezaków, którzy swymi niewielkimi nożami dokonywują wprost cudów. Krzyki zabijanych zwierząt są również mniejsze przy żydowskim uboju. Nasi fachowcy utrzymują, że męki bydła, ubijanego przez rzezaków, są znacznie mniejsze i trwają o wiele krócej. Przy sposobności zwierzę się przed panem: nasza firma wprowadziłaby „szechitę" dla wszystkich zwierząt, z wyjątkiem świń, których rzezacy nie chcą ubijać. Kosztowałoby to jednak zbyt drogo, gdyż płaca pobierana przez rzezaków jest o wiele wyższa niż murzynów.

Przypuszczałem, że nasz przewodnik, propagator i zwolennik rytualnego uboju bydła, jest Ży-

dem. Byłem przeto zdziwiony, gdym się dowiedział, że to Irlandczyk czystej krwi.

Po wyjściu z budynków, w których odbywa się ubój, zwiedzamy szereg hal, gdzie surowe mięso ulega konserwacji, soleniu, wędzeniu i t. p. Tutaj murzyni nie pracują. Setki młodych, schludnie odzianych kobiet, stało przy maszynach, wykonywując swą pracę z niezwykłą systematycznością. Szczególnie ciekawy jest sposób opakowania wędlin. Używa się do tego wyłącznie pergaminowego papieru. Paczki wyglądają bardzo estetycznie. Dla żydowskiej wędliny istnieje specjalna pakownia. Na pergaminie widnieje pieczątka: „koszer".

Fachowcy, znajdujący się w naszej grupie, ze specjalnym zainteresowaniem obserwowali te działy produkcji, w których wyrabia się ekstrakty chemiczne. Podziwiali pomysłowość amerykan oraz ich prawdziwie rewelacyjne urządzenia techniczne.

W drodze powrotnej minęliśmy budynki, w których odbywa się ubój. Znów doszedł nas wrzask zarzynanego bydła, duszny odór krwi, znów ujrzeliśmy nabrzmiałe grozą twarze murzynów. Gdy znalazłem się na ulicy, odetchnąłem z ulgą. Rozwiała się ciężka, ponura zmora „Stocks-Jards".

## POLACY I ŻYDZI W CHICAGO.

Chicago jest największym ośrodkiem polskich emigrantów w Ameryce. Oficjalnej statystyki nie ma. Według opinii jednak miarodajnych kół emigranckich, znajduje się w Chicago pół miliona Polaków. Żydów mieszka tutaj czterysta tysięcy. Po Nowym Jorku zajmuje Chicago drugie miejsce w Ameryce pod względem gęstości zaludnienia mas żydowskich.

Polacy, zamieszkujący Chicago, to przeważnie robotnicy i rzemieślnicy. Tylko bardzo znikoma ich liczba trudni się handlem. W przeciwieństwie do Polaków — Żydzi prowadzą przedsiębiorstwa na szeroką skalę i są posiadaczami wielkich fabryk. Z takiego układu sił ekonomicznych wynika ścisła, wzajemna zależność gospodarcza Polaków i Żydów. W dzielnicy polskiej spotykamy wielką ilość sklepów i magazynów żydowskich. Lekarze, adwokaci i dentyści, praktykujący wśród ludności polskiej, to niemal wyłącznie Żydzi. Polacy chętnie kupują u Żydów, i nie wahają się zasię-

gnąć porady u żydowskiego adwokata lub lekarza. Polskie radio w Chicago nie uznaje również różnic „rasowych“ i wypełnia swe audycje reklamami żydowskich firm.

Mimo wzajemnej zależności gospodarczej Żydów i Polaków, którzy razem stanowią jedną trzecią część mieszkańców Chicago, stosunki między nimi poczęły się ostatnimi czasy znacznie pogarszać. Winę tego ponosi, jak zwykle, prasa. W Chicago ukazują się cztery codzienne pisma polskie. Podobnie, jak to się dzieje w Macierzy, istnieją i w Chicago różnice w orjentacji politycznej. Dwa pisma uprawiają politykę sanacyjną, dwa zaś pozostałe mają orientację raczej endecką. Do niedawna nawet endecka prasa w Chicago nie śmiała na swych łamach atakować otwarcie Żydów. Ogólne jednak nastroje antysemickie ostatnich kilku lat, wreszcie wzmożona propaganda hitlerowskich agentów, odniosły skutek i w Chicago. W prasie polskiej poczęły ukazywać się antyżydowskie notatki i artykuły. Były one jednak redagowane z pewną dozą ostrożności i nigdy nie zdobywały się na ostry, napastliwy ton.

Pewnego pięknego poranka ukazał się na ulicach Chicago tygodnik w języku polskim, będący dokładnym, fotograficznym jakby odbiciem streicherowskiego „Der Stürmer“. Żydowskie sfery intelektualne w Chicago zainteresowały się osobą

wydawcy. Niebawem wyszło na jaw, że wydawcą antyżydowskiego piśmidła jest znana, czcigodna persona chicagowskiej partii demokratycznej. Ponieważ do tej samej partii należy większość Żydów w Chicago, uważano za stosowne wywołać wspomnianego redaktora na pogawędkę. Z ramienia Żydów wydelegowano redaktora chicagowskiego Vorwärtsu — Sigala.

Na samym wstępie zaznaczył Sigal, że zasadniczo konferencję w sprawie żydożerczego tygodnika uważa za chybioną. Miast konferować z nieodpowiedzialnymi ludźmi należało raczej wysłać memoriał do Waszyngtonu i zaznaczyć w nim, że istnieje w Chicago pismo, które jawnie nawoływuje do nienawiści rasowej i szerzy ferment wśród obywateli Stanów. Skutek memorjału byłby łatwy do przewidzenia. Pismo uległoby natychmiastowej konfiskacie, wydawca zostałby pociągnięty do odpowiedzialności sądowej i w dodatku musiałby zapłacić wysoką sumę tytułem odszkodowania za antysemicką nagonkę. Nie wybrał on jednak tej drogi ze względu na współpracę z osobą wydawcy w partii demokratycznej.

Sigal zażądał przeto od niego wyczerpujących w tej sprawie wyjaśnień. Właściciel antysemickiego tygodnika, słysząc ostre i niedwuznaczne słowa żydowskiego redaktora, naiwnie oświadczył, że nie interesował się nigdy treścią swego wydaw-

nictwa, że nigdy nie był antysemitą; wręcz przeciwnie — Żydów lubi, a skoro istotnie pismo to nosi tak wybitnie żydożerczy charakter, winę ponosi wyłącznie... redaktor. Zażądano zatem od wydawcy, aby w najbliższym numerze całą tę sprawę sprostował i wyjaśnił swoim czytelnikom, że został oszukany przez niesumiennych współpracowników. Solennie przyrzekł, że uczyni wszystko, by błąd swój naprawić. Słowa jednak nie dotrzymał, ale tygodnik już się nie ukazał.

Życie żydowskie w Chicago koncentruje się dokoła Roosevelt-Road. Chicago, podobnie jak Nowy Jork, posiada swą Orchard-Street, swój kercelak. Tutaj kwitnie drobny handel żydowski. Brodaci Żydzi i opasłe Żydówki stoją przy straganach, donośnym głosem przywołują klientów. Nie ograniczają się bynajmniej tylko do słów. Ciągną kupujących za rękawy i prawie do nosa zbliżają klientom najrozmaitsze produkty detalicznego handlu. Z pośród kupujących nietrudno wyróżnić wielką ilość rdzennych Jankesów. Kobiety polskie w kolorowych chustach na głowach targują się na głos. Kupiec chicagowskiego kercelaka woli taniej sprzedać, aby tylko „handel szedł".

— Z małych dochodów nikt jeszcze nie zban-

krutował — tłumaczy nam starszy Żyd — handlarz gotowych ubiorów.

Żydowskie Chicago posiada także Café Royal. Jej właścicielem jest artysta Masson, gorący wielbiciel literatury i sztuki żydowskiej. Nic zatem dziwnego, że lokal jego stał się miejscem zbornym wszystkich dziennikarzy, literatów i poetów, stale zamieszkujących Chicago lub czasowo w tym mieście przebywających. Nie martwi Massona fakt, że ktoś z artystycznej cyganerii nie ma chwilowo do zapłacenia za herbatę, lub pół czarnej. Głównie zależy mu na tym, aby wesoła brać nie przeniosła się „do konkurencji", mieszczącej się vis à vis café Royal.

Naczelne, honorowe miejsce wśród stałych bywalców café Royal zajmuje filozof Natanson, wytrawny znawca starej i młodej poezji żydowskiej. Dokoła jego stolika, jak uczniowie wokół mistrza, siedzą pisarze, krytycy i poeci. Słuchają z uwagą i namaszczeniem głębokich wywodów filozofa.

Gdy zjawiłem się w café Royal, przyjęto mnie niezwykle serdecznie. Wypytywano o najrozmaitsze nowinki literackie. Tych ludzi, żyjących wyłącznie sztuką, obchodził bardziej wiersz wydrukowany w „Literarische Blätter", niż wszystko inne. Pragnęli się dowiedzieć, czy młody poeta Semiatycki jest w istocie głęboko wierzącym człowiekiem.

— A jak tam nihilizm Mangera? — rzucił ktoś pytanie.

Wieczór, spędzony w towarzystwie literatów chicagowskich, przypomniał mi lata studenckie w Paryżu, kiedy to całymi godzinami wysiadywało się w miłych paryskich kawiarenkach i trawiło czas na młodzieńczych dysputach. Nikt z nas w owym czasie nie przeżywał jeszcze wielkich trosk, ani zmartwień. Starczyło dziesięć centymów na kawę, aby zapomnieć o wszystkim.

Było już dawno po północy, gdy towarzystwo w café Royal poczęło się rozchodzić. Nadeszła pora uregulowania rachunków. Wielu chwyciło za kieszeń—długo i mozolnie szukając „drobnych". Nie jeden z gości polecił dyskretnie kelnerowi zapisać swą kawę „na konto". U Massona wszyscy mają kredyt. Na utrzymanie czerpie ten artysta z innych źródeł. Przy Café Royal istnieje dobrze prosperujący kabaret. Nie ma on zatem wielkiego zmartwienia, jeśli tak drodzy i bliscy sercu goście kosztują go parę dolarów.

## NOSTALGIA.

Nowy Rok i Sądny Dzień spędziłem w Nowym Jorku. Uroczyste te święta dają się wielkiemu miastu bardzo silnie we znaki. Odświętny nastrój panuje nie tylko na East-Side, gdzie wszystkie niemal sklepy są w owych dniach zamknięte, ale nawet na wiecznie hałaśliwym i kipiącym Broadwayu. Święta odczuwa się nawet na Wall-Street. W czasie uroczystych świąt nie dokonywa się tu żadnych prawie tranzakcyj. Urzędnicy żydowscy, zatrudnieni w instytucjach rządowych i komunalnych, zostają na te święta zwolnieni z pracy. Podobnie dzieje się w przedsiębiorstwach prywatnych.

Wyjątkowo gorliwie obchodzą święta Żydówki amerykańskie. W synagodze spostrzegłem wiele kobiet, a wśród nich niemało młodych pań. Zreformowana synagoga amerykańskich „jahudów", zwana Emanuel-Tempel, była zapełniona po brzegi. Stali bywalcy twierdzą, że tym razem w Sądny

Dzień ilość limuzyn przed wejściem do synagogi była daleko mniejsza, niż zwykle...

W Nowym Jorku tradycję świąteczną odczuwa się przeważnie na zewnątrz. W domach natomiast zatraca się ona powoli, a zwłaszcza wśród młodego pokolenia, które wyrosło w innym środowisku. Jedynie w tych domach, które pozostają pod wpływem starszego pokolenia, tradycja jest jeszcze żywa i dość skrupulatnie przestrzegana.

Inaczej przedstawia się życie na prowincji. Tam emigrant jest jeszcze tysiącznymi węzłami związany z rodzinnym miasteczkiem. Pilnie, z niesłabnącym zainteresowaniem pochłania wszelkie wieści z dalekich stron rodzinnych. Żyd z prowincji amerykańskiej pamięta o każdym święcie, a chociaż wypadnie mu czasem pracować w Sukoth lub Wielkanoc, w niczym to nie umniejszy jego przywiązania do tradycji, którą u siebie w domu z pietyzmem i kultem przestrzega.

W pierwszych dniach święta Sukoth bawiłem w Chicago. Jeden z moich przyjaciół zaprosił mnie do swego teścia na świąteczną kolację. Zebrały się tam wszystkie dzieci sędziwych gospodarzy domu. Przygotowano dla nas prawdziwie królewską ucztę.

— Jest nam dobrze w Ameryce — zwierzył się przedemną miły gospodarz — dzieci o nas dbają. Jestem członkiem zarządu stowarzyszenia ziom-

ków grodzieńskich. Trzy razy dziennie chodzę do bóżnicy. Zbierają się tam nasi staruszkowie i nieraz głowimy się wspólnie nad jakimś zawiłym problematem talmudycznym. Mam z moją żoną zapewnione miejsce na cmentarzu. Byłbym zupełnie szczęśliwy, gdyby nie owa ciągła tęsknota za miasteczkiem i dawnym domem, tęsknota, która nie daje mi spokoju. Chciałbym raz jeszcze przed śmiercią ujrzeć miasteczko Motol, gdzie urodziłem się i większą część życia spędziłem. Kto wie, czy uda mi się to kiedykolwiek?!

Wszyscy obecni przysłuchiwali się uważnie temu, co mówiłem o Polsce. Gospodarz domu, ponieważ słuch miał mocno przytępiony, zbliżył się do mnie i nadstawiając ucha łowił każde słowo. W jego starczych, zmęczonych oczach, ukazały się łzy. Poczułem, że wizyta moja w tym domu jest silnym przeżyciem, zwłaszcza dla gospodarzy.

W czasie kolacji radio przygrywało żydowską piosenkę. Radiostacja chicagowska nadaje parę razy na tydzień specjalne audycje żydowskie. W dni świąteczne i wieczory piątkowe audycje te trwają po kilka godzin. Artyści żydowscy śpiewają pieśni ludowe, reklamując jednocześnie najrozmaitsze firmy. Dowiadujemy się, gdzie można nabyć najlepsze trunki na święta, gdzie sprzedaje się smaczne i świeże potrawy, gdzie można elegancko i tanio się ubrać. Specjalnie reklamowane są fa-

bryki gorsetów. Artykuł ten cieszy się wielkim powodzeniem. Conferencier stara się swym ujmującym głosem przekonać słuchaczki, że pięknie i powabnie można wyglądać jedynie w gorsetach przez niego reklamowanych.

Po części śpiewno-reklamowej zgłasza się do megafonu artystka i wychwala nową sztukę żydowską, którą wystawi niebawem jeden z teatrów w Chicago. Od czasu do czasu słyszy się również piosenkę polską, rosyjską lub ukraińską. Stanowią one nieodłączną część programu i towarzyszą każdej niemal audycji żydowskiej.

Na moją prośbę nastawia gospodarz audycję polską. Speaker łamaną polszczyzną tłumaczy coś swoim słuchaczom. Po chwili jakiś aktor reklamuje w języku angielskim firmy chicagowskie. Zupełnie niski poziom cechuje audycje litewskie i ukraińskie.

Wizyta w domu żydowskich emigrantów z Polski pozostawiła miłe wspomnienie. Stwierdziłem raz jeszcze, że elementem najmniej podatnym na wszelkiego rodzaju asymilację jest — emigrant żydowski.

## NAD GROBEM DZIADKA.

Dalszym etapem mojej podróży było miasto Indianapolis. O mieście tym, będącym stolicą stanu Indiana, mało kto słyszał. Nie posiada ono bowiem nic specjalnie godnego uwagi, coby przyciągnąć mogło turystów z dalekich stron. Dla mnie jednak Indianapolis nie był obojętny. Tutaj żył przez wiele lat dziadek mój Dow-Arie Frydman, znany haskalista i pisarz hebrajski. Tutaj również znalazł swój wieczny spoczynek.

Dziadka wcale nie znałem. Miałem zaledwie parę tygodni, gdy wraz z rodziną wyemigrował z Polski. A jednak cała moja młodość upłynęła pod silnym jego wpływem. Już jako dziecko otrzymywałem od dziadka długie listy hebrajskie, pisane kwiecistym stylem biblijnym.

W czasie, gdy wszyscy w Ameryce uganiali się za pieniądzem i bogactwem, dziadek mój postawił sobie za cel życia szerzenie kultury hebrajskiej wśród emigrantów z Polski i Rosji, których większość nie odczuwała prawie wcale żadnych po-

trzeb kulturalnych. Wędrował z miasta do miasta, docierał wszędzie, gdzie tylko tworzyło się skupienie Żydów, by w sercach emigrantów krzewić miłość i przywiązanie do prastarej kultury narodu. Był on autorem głośnej w owym czasie gramatyki hebrajskiej, jednej z pierwszych, które opierały się na nowoczesnych metodach nauczania.

Miałem szesnaście lat, gdy odbyłem pierwszą podróż do Palestyny. Było to w roku 1909. Turcja przeżywała wówczas dni niezwykle burzliwe. Sułtan Abdul Hamid został zdetronizowany, a rządy objęli zwolennicy stronnictwa młodoturków. Rewolucja zataczała coraz szersze kręgi. Hasła wolnościowe poczęły silnie nurtować w społeczeństwie tureckim i wywoływały ciągle starcia z pokonaną już oficjalnie, lecz wciąż jeszcze dość silną reakcją. W owym burzliwym czasie mała grupka, złożona z sześciu uczniów gimnazjalnych, postanowiła, nie bacząc na żadne przestrogi odbyć podróż do Palestyny. Nic nie zdołało nas (albowiem i ja do tej szóstki należałem) odwieść od tego zamiaru. Byliśmy młodzi, niepozbawieni fantazji, tupetu i entuzjazmu. Jedynym człowiekiem, który mnie do odbycia tej ryzykownej podróży gorąco namawiał, był mój dziadek. Napisałem doń później obszerny list, w którym skreśliłem wrażenia z podróży po Ziemi Świętej. Palestyna była wówczas jeszcze tylko ziemią obiecaną. Jakież

wielkie było moje zdumienie, gdy wkrótce potem nadeszło pocztą z Nowego Jorku hebrajskie czasopismo „Halom". Na czołowym miejscu wydrukowane były moje wrażenia z podróży po Palestynie. Redakcja w serdecznych słowach pochwaliła dzielność i odwagę młodzieńców, którzy pieszo przebyli Palestynę wzdłuż i wszerz.

Artykuł ten był moim debiutem dziennikarskim...

Ostatnie lata swego pracowitego żywota spędził dziadek w Indianapolis, gdzie mieszkali przeważnie emigranci z Polski i Rosji, ludzie prości, trudniący się rzemiosłem. Indianopolis był ostatnią placówką pracy i działalności dziadka. W listach pisanych do mnie uskarżał się na rosnącą obojętność emigrantów dla spraw kultury hebrajskiej. Lata spędzone w Indianapolis były najpłodniejszym okresem jego życia. Wydał on wtedy, między innymi, angielsko-hebrajski słownik dla młodzieży szkolnej. W owym czasie ukazały się również jego Dzieje Żydów w języku angielskim. Na tym dziele kształciło się młode pokolenie żydowskie w Ameryce.

Dziadek zmarł przeżywszy lat siedemdziesiąt pięć. Wśród manuskryptów znalazło się jeszcze jedno dzieło: obszerny słownik hebrajsko-angielski. Jedyny jego syn, obywatel Nowego Jorku, podarował rękopis nowojorskiej Public Library,

gdzie znajdują się wszystkie prace mego dziadka.

W encyklopedii angielsko-żydowskiej jest szeroko omówiona działalność Dowa-Arie Frydmana oraz jego doniosły wpływ na przybyszów żydowskich w okresie wzmożonej emigracji do Ameryki.

Odbyłem długą podróż autobusem, aby zwiedzić grób dziadka. W samochodzie nawiązałem rozmowę z pasażerem, jadącym również do Indianapolis. Dowiedziawszy się, że jestem wnukiem Frydmana, nabrał dla mnie wielkiego szacunku. O dziadku wyrażał się ze czcią. Pamięta dobrze jego pogrzeb, który był wielką manifestacją wszystkich Żydów Indianapolisu. Pogrzeb odbył się na koszt gminy. Jest to w Ameryce rzadki objaw. Takiego zaszczytu dostępują nieliczne, wyjątkowo zasłużone jednostki.

Około dwunastej w południe przybyliśmy na miejsce. Natychmiast udałem się na cmentarz, odległy od miasta o 7 mil. Napotkałem tam na pogrzeb. Zgromadzeni ludzie poznali we mnie cudzoziemca. Ktoś z orszaku pogrzebowego zapytał, czego właściwie szukam na tym cmentarzu. Wyjawiłem cel swego przybycia. Wywołało to wśród obecnych wielkie poruszenie. Wnuk Dowa-Arie Frydmana przyjechał z dalekiej Polski na grób swego dziadka! Wskazano mi odrazu miejsce jego wiecznego spoczynku.

Dłuższy czas spędziłem nad grobem. Na skrom-

nym pomniku widniało imię i nazwisko dziadka oraz nazwa miejscowości, w której się urodził. „Urodzony w Sejnach“ brzmiał krótki napis na kamiennej płycie. Tak podpisywał się dziadek na wszystkich swych dziełach. Nazwę mieściny polskiej, w której się urodził, nosił z wdzięcznością w sercu przez całe życie. Nie zapomniał o niej podczas swych długich wędrówek po nowym, amerykańskim kontynencie.

Mogiła dziadka w Indianapolis przywodzi na pamięć dzieje haskalizmu w Ameryce, historię owych wielkich zmagań oświeconych jednostek dla podniesienia kultury wśród żydowskich mas emigranckich. Była to praca pionierska w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu.

## BASENY LECZNICZE, LOŻE MASOŃSKIE, KOLEJE.

W Indianapolis zwiedziłem największy szpital dziecięcy w Stanach Zjednoczonych. Wzniesiono go ku czci pisarza Riley'a, który serdeczny trud swego życia poświęcił dzieciom. Tego samego dnia, kiedy zwiedzałem szpital odbywała się na jego terenie podniosła uroczystość. Nastąpiło otwarcie wielkiego basenu leczniczego dla sparaliżowanych dzieci. Prezydent Roosevelt, który sam od dzieciństwa cierpi na paraliż nogi, wydaje z własnych funduszów olbrzymie sumy na budowę leczniczych basenów. Basen w Indianapolis wybudowany został również wyłącznie za pieniądze prezydenta. Dzieci, dotknięte paraliżem, leczy się tutaj specjalną gimnastyką, wykonywaną w basenie. Woda w basenie utrzymywana jest zawsze w temperaturze, dostosowanej do wymogów leczniczych paraliżu. Zawiera ona szereg substancyj chemicznych, których działanie okazało się zbawienne. Obumarłe części ciała odzyskują, na sku-

tek racjonalnie stosowanej gimnastyki i kąpieli leczniczych, elastyczność i muskulaturę. W znieruchomiałe ciała wstępuje znów radość życia. Ze względu na olbrzymie koszty, związane z budową i urządzeniem basenów tego typu, ilość ich w Ameryce jest jeszcze nieznaczna. Nic zatem dziwnego, że otwarcie nowego basenu jest niemałym wydarzeniem w życiu Stanów.

W Indianopolis zwiedziłem również chrześcijańską lożę masońską. Tylko nieliczne jednostki, mają do niej dostęp. Zaproszenie na zwiedzenie loży otrzymałem od naczelnego redaktora najpoczytniejszego dziennika miejscowego. Istotnie warto było obejrzeć wspaniały gmach loży. Jest on zresztą, jak mnie tutaj zapewniano, siódmym z rzędu najpiękniejszym budynkiem na świecie. Drzewo, marmur, jedwabie, makaty i hafty sprowadzono z odległych, egzotycznych krain. Budowa trwała długo i zatrudniono przy niej najzdolniejszych architektów. Zwiedziłem salon recepcyjny, który zmieścić może conajmniej cztery tysiące osób. Roiło się w głowie od miljonów, jakimi operował mój przewodnik, wyliczając koszty budowy. I pomyśleć tylko, że wspaniały ten gmach wybudowany został jedynie dla nielicznej grupy ludzi, dla zamkniętego i odosobnionego klanu, do którego tylko wielka fortuna umożliwia dostęp.

*
* *

Znużony długą podróżą autobusem, postanowiłem trasę Indianopolis — Waszyngton odbyć pociągiem. Była to moja pierwsza podróż koleją amerykańską, Pociągi w Stanach nie uznają podziału na klasy. Istnieje jedna klasa dla wszystkich. Ci jednak podróżni, którzy szukają specjalnych wygód mogą je znaleźć w wagonach pulmanowskich. Pasażerowie siedzą tutaj w szerokich i miękkich fotelach, a nogi opierają na wyścielonym krześle, co należy do największych przyjemności Jankesa. Dla tych podróżnych przeznaczono również specjalne palarnie-czytelnie, gdzie zaciągnąć się można wonnym hawajskim cygarem i przeczytać ciekawy magazyn lub periodyk. Spanie natomiast w pociągach amerykańskich nie należy do wielkich przyjemności. Każą ci się kłaść we wnękę, miękko coprawda wyścieloną, ale bez najmniejszego dostępu powietrza. Jest tak ciasno, że nie ma gdzie odwiesić garnituru, a buty zwisają nad głową śpiącego. Właściciele pociągów amerykańskich, złączeni w potężny trust, każą sobie za takie koszmarne posłanie płacić sześć dolarów. Nie najlepszą opinią cieszą się również restauracje w pociągach. Za szklankę whisky lub innego trunku płaci się tutaj słono. Należy się przy tym

wystrzegać konsumpcji, gdyż nie zawsze bufet zaopatrzony jest w świeże produkty.

Pewnego rodzaju atrakcję stanowi dla europejczyka murzyńska służba kolejowa, która odznacza się przesadną grzecznością. Służba kłania się tutaj po pas spodziewając się od pasażera sutego napiwka. Murzyński konduktor czyści palto, garnitur i buty, gdy zbliża się już stacja, na której masz wysiąść. Wynosi również bagaż.

Za podróż z Indianopolis do Waszyngtonu, trwającą siedemnaście godzin, zapłaciłem przeszło trzydzieści dolarów.

Do Waszyngtonu przybyłem około piątej po południu. Miasto to, będące siedzibą centralnego rządu i prezydenta Roosevelta, różni się wyraźnie od stolic europejskich. W przeciwieństwie zaś do Nowego Jorku życie płynie tu niezwykle spokojnym nurtem. Nie odczuwa się nigdzie gorączkowego tempa. Ludzie spokojnym, spacerowym krokiem przemierzają ulice. Limuzyny posuwają się bezgłośnie po lśniącym, gładkim asfalcie. Na pierwszy rzut oka zdaje ci się, że przybyłeś do odległego prowincjonalnego miasta. Waszyngton sprawia wrażenie prowincji nawet wobec tak spokojnych miast jak Kopenhaga, Sztokholm i Oslo pomijając już Paryż lub Londyn. Nawet portiera hotelowego w Waszyngtonie cechuje opanowanie

i umiar, który nie zawsze idzie w parze z tym niespokojnym zawodem.

Znajomi z Nowego Jorku podali mi kilka adresów swoich przyjaciół w Waszyngtonie. Pierwszą wizytę złożyłem niejakiemu Mr. Hallonowi. Szofer zatrzymał auto obok sklepu spożywczego. Właśc. sklepu był właśnie Mr. Hallon, jak się później okazało, Żyd z Litwy, który lat temu szesnaście pracował jeszcze w Warszawie na posadzie biurowej. Jak zawsze w takich wypadkach nie trudno było odnaleźć wspólnych znajomych. Normalnie sklepy spożywcze otwarte są w Ameryce do późnej nocy. Ze względu jednak na tak nieoczekiwaną wizytę europejczyka, Mr. Hallon zamknął sklep o wpół do dziewiątej i zaproponował przejażdżkę po mieście. Usadowiłem się w wygodnej limuzynie obok nadobnej małżonki Hallona. Nie muszę chyba zaznaczać, że limuzyna była własnością kramarza waszyngtońskiego. Mr. Hallon, który przed kilkoma jeszcze minutami sprzedawał za ladą chleb, śledzie i pomidory, teraz z młodzieńczą brawurą prowadził auto.

## SPACER PO WASZYNGTONIE.

Przybysza z Europy, jak to już poprzednio zaznaczyłem, uderza niezwykły spokój, panujący na ulicach Waszyngtonu. Spacer po tym mieście, tonącym w ogrodach i bujnej, szumiącej zieleni, należy do bardzo miłych rozrywek. Rzeka Potomak, płynąca wzdłuż całego miasta, sprawia, że powietrze jest tu zawsze orzeźwiające. Łagodny wiaterek muska po twarzy i nawet po długiej przechadzce nie odczuwa się wcale znużenia. Godzinami spacerować można po ulicach Waszyngtonu i podziwiać oryginalne i w pięknym stylu budowane domy. Waszyngton należy do nielicznych miast Ameryki, w których odnaleźć można ślady jej przeszłości historycznej, monumenty wielkich i bohaterskich zmagań o wolność, demokrację i kulturę narodową.

Zbliżamy się do pomnika pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych — Waszyngtona. Amerykanie uczynili wszystko, by uwiecznić świetlaną postać wielkiego bohatera narodowego. Dźwig za-

wozi nas na szczyt pomnika, skąd rozspostarł się przed naszymi oczyma przebogaty widok miasta, kołyszącego się w poszumie strzelistych drzew i ogrodów.

Udajemy się z kolei do mauzoleum drugiego bohatera narodowego Lincolna, którego wiekopomną zasługą jest zjednoczenie Stanów i zniesienie niewolnictwa. Nazwisko Lincolna, który zginął od skrytobójczej kuli fanatycznego przeciwnika politycznego, otoczone jest w Ameryce najwyższą czcią. Pomnik Lincolna znajduje się we wspaniałym pałacu, na którego ścianach wyryto historię jego życia. Do mauzoleum pielgrzymuje codziennie wielka ilość turystów, a zwłaszcza młodzież szkolna.

Miasto Waszyngton nie zapomniało również o dwóch wielkich Polakach, którzy przybyli z dalekiej swej ojczyzny, by na ziemi amerykańskiej walczyć o wyzwolenie Stanów. W dwóch skwerach naprzeciw siebie położonych wznoszą się pomniki Kościuszki i Puławskiego. Pomnik Kościuszki przedstawia żołnierza, który dzierżąc chorągiew amerykańską w jednej ręce, drugą, uzbrojoną w miecz, rozcina więzy spętanego murzyna.

Stąd udajemy się wprost do Kapitolu. Zatrzymujemy się obok wielkiego gmachu, w którym od-

bywają się posiedzenia parlamentu i senatu. Gmach ten wybudowany został na modłę starożytnego kapitolu rzymskiego. Cechuje go wielki przepych, jak wszystkie reprezentacyjne budowle w Ameryce. A jednak kapitol amerykański nie może konkurować z jego rzymskim prawzorem. W Kapitolu italskim spotykamy wszędzie rzadkie, niebywałe okazy malowideł i rzeźb. Kapitol waszyngtoński natomiast dekorowany jest portretami senatorów i posłów pędzla bardzo przeciętnych malarzy.

Karmią cię tu obficie polityką. Nasz guide, sędziwa, pochylona wiekiem staruszka, opowiada bez przerwy o walorach partii demokratycznej, o wielkości Roosevelta, o jego triumfach w dziedzinie życia politycznego i społecznego. Wskazuje nam ławki, na których siedzą przedstawiciele demokratycznej i republikańskiej partii. Ta staruszka, oprowadzająca nas po waszyngtońskim Kapitolu, pracuje już tutaj przeszło czterdzieści lat i przyznać trzeba, że praca jej nie należy do zbyt łatwych. Ileż to rządów i parlamentów przeżyła ta sędziwa pani! Za każdym razem musi ona dostroić ton swych wywodów do rządzących partyj i panujących nastrojów.

W drodze do „białego domu“ zwiedziliśmy jeszcze muzeum Szekspira, które wybudowane zo-

stało w ostatnich latach. W jednej z sal mieści się teatr, będący dokładną kopią sceny z czasów wielkiego dramaturga. W muzeum nagromadzone są dzieła Szekspira we wszystkich niemal językach świata. Między innymi znajduję „Romea i Julię“ w przekładzie hebrajskim i kilka tłumaczeń polskich. Dyrektor wyjaśnia, że zbiory posiadają jeszcze poważne luki. Jest to bardzo młode muzeum i praca nad jego wzbogaceniem dopiero się właściwie zaczęła. W pobliżu muzeum szekspirowskiego mieści się Najwyższy Sąd waszyngtoński. Jest to najbogatszy gmach sądowy na świecie. Kiedy wszedłem na salę — sąd rozpatrywał bardzo skomplikowany proces cywilny. Przewodniczącym był Żyd, Louis Brandeis. Strony mówiły niewiele. Powoływano się głównie na wyroki, wydane przez wyższe sądy w innych stanach. Sąd waszyngtoński jest ostateczną instancją we wszystkich procesach.

Cicho i zacisznie jest w „białym domu“, stałej rezydencji amerykańskich prezydentów. Jego obecny lokator, Mr. Roosevelt, znajduje się gdzieś daleko na wywczasach i zajmuje się ulubionym rybołówstwem. W „białym domu“ przeprowadza się remont. Prywatne apartamenty prezydenta, a nawet salony recepcyjne, są dość skromnie umeblowane. „Biały dom“ przypomina raczej prywat-

ne mieszkanie jakiegoś zamożnego obywatela, aniżeli rezydencję prezydentów wielkiej i potężnej Ameryki.

Wstępujemy jeszcze do gmachu, w którym mieści się stowarzyszenie Pan-Ameryka. Nagromadzono tutaj wspaniałe eksponaty flory i fauny amerykańskiej. Przemysł reprezentowany jest w całym swym bogactwie. Liczny sztab urzędników zajmuje się propagandą idei pan-amerykańskiej.

Było już dość późno, gdy opuściłem gmach „Pan-Ameryki" i udałem się do pobliskiej restauracji. Byłem tam o tej porze jedynym gościem. Nawiązałem długą pogawędkę z bardzo rozmownym kelnerem. Okazało się, że jest on studentem medycyny i w godzinach wieczorowych pracuje jako kelner. Otrzymuje za to kolację i napiwek od gości. Kokosów oczywiście nie zbija. Daje mu to jednak możność kontynuowania studiów. Kilka dolarów posyła jeszcze staremu ojcu, zamieszkałemu w zapadłym zakątku nowojorskiego East-Side'u. Właściciel restauracji zapewnia mnie, że zatrudnia wyłącznie inteligentnych kelnerów i to przeważnie studentów. Goście są z nich zadowoleni, a właściciel spełnia funkcję filantropijną, umożliwiając im zdobycie wiedzy i stanowiska w życiu.

Kiedy wyszedłem z restauracji na ulicę, Waszyngton sprawiał wrażenie zupełnie opustoszałego miasta. Wszędzie panowała głęboka, nocna cisza. Zegar wskazywał zaledwie godzinę jedenastą.

## WŚRÓD ŻYDÓW WASZYNGTOŃSKICH.

W Waszyngtonie, liczącym przeszło pół miliona ludności, mieszka dwadzieścia pięć tysięcy Żydów. Są to przeważnie właściciele sklepów spożywczych, których stan majątkowy jest zupełnie zadowalający.

Życie intelektualne Żydów waszyngtońskich skupia się dokoła „klubu żydowskiego". Mieści się on w najelegantszej dzielnicy miasta, w okazałym gmachu, w pobliżu polskiej ambasady. Przy klubie czynna jest szkoła, w której wykłada się hebrajski i judaistykę. Zakład ten, nawpół religijny, cieszy się w Waszyngtonie dużą frekwencją. W każdym bowiem domu obchodzi się bardzo uroczyście konfirmację. Żydowi amerykańskiemu zależy na tym, aby syn jego w dniu ukończenia trzynastu lat potrafił do zebranych gości wygłosić przemówienie. Do religijnej szkoły uczęszczają chłopcy tylko do lat trzynastu. Wielkiej zatem wiedzy nie mogą z niej wynieść, zwłaszcza że roz-

poczynają swe studia judaistyczne dopiero w dziesiątym lub jedenastym roku życia.

Waszyngtońską szkołę judaistyczną zwiedziłem w wolne święta „sukoth". Tego dnia szkoła zorganizowała uroczystość. Nauczyciel, sefardyjski Żyd z Palestyny, tłumaczył dzieciom znaczenie święta. Była to lekcja poglądowa. Nauczyciel pokazał dzieciom palmę i jabłko rajskie (lulaw i etrog). Dziewięćdziesiąt pięć procent dzieci widziało to po raz pierwszy. Do tej przytłaczającej większości należał również syn waszyngtońskiego przywódcy syjonistycznego...

Dzieci zadawały pytania. Pragnęły się dowiedzieć, czy istotnie są jeszcze na świecie tacy Żydzi, którzy chodzą codziennie do synagogi. Wśród szumu i gwaru krzyżujących się pytań wstał mały, jasnowłosy chłopiec i oznajmił swoim kolegom, że sam, na własne oczy widział w Polsce wielu takich Żydów. Jak się dowiedziałem, chłopiec ten pochodzi z Niemiec. W Polsce przebywał cały rok i dopiero niedawno krewni sprowadzili go do Ameryki.
Na prośbę nauczyciela przemówiłem z katedry klasowej do młodego audytorium oddając dzieciom ukłon z Europy. Przedstawiłem im życie naszej młodzieży w miastach i miasteczkach, walczącej ustawicznie z najrozmaitszymi trudnościa-

mi, stawianymi na drodze ich rozwoju, i wegetującej nieraz w straszliwej nędzy.

Uroczystość zakończyła się rozdaniem między dzieci owoców. Niektóre redakcje pism waszyngtońskich wysłały swych fotografów dla dokonania „pictures" z tej egzotycznej zabawy.

Wieczorem zostałem zaproszony do pewnego domu żydowskiego, w którym odbywała się uroczystość, związana z trzydziestoleciem istnienia żydowskiej partii robotniczej Poalej-Syjon. Wygłoszono przy tej sposobności kilka przemówień w językach angielskim i żydowskim. We wszystkich przemówieniach dominowało uczucie tęsknoty za dawną ojczyzną. Jeden z prelegentów podzielił się wrażeniami z niedawno odbytej podróży do Wilna.

Jako gość z Polski musiałem również zabrać głos. Mówiłem także o Palestynie na podstawie własnych obserwacyj. Wszystko, co powiedziałem o tym kraju, było dla nich nowe i wzruszające.

Nazajutrz zwiedziłem głośną bibliotekę Library of Congress. Amerykanie szczycą się, że jest to największy gmach biblioteczny na świecie. Library of Congress prześcignęła podobno pod względem ilości książek biblioteki wszystkich krajów świata.

Kierownik wydziału semickiego Dr. Szapiro oprowadzał mnie w ciągu długich godzin po salach

bibliotecznych. Ten Żyd z Suwałk uchodzi obecnie w Ameryce za najwybitniejszego znawcę języków semickich i jest owym „uczonym jewrejem", do którego zwraca się rząd i parlament amerykański we wszelkich sprawach, mających jakikolwiek związek z kulturą i wiedzą judaistyczną. Żydowski wydział w bibliotece waszyngtońskiej jest o wiele bogatszy, niż w nowojorskiej Public Library. Nie ma prawie dzieła żydowskiego lub hebrajskiego, które nie byłoby tutaj reprezentowane. Dr. Szapiro zapewnia, że jeśli są jakieś luki w zbiorach, to wynikają one wyłącznie z braku wiadomości o ukazaniu się tego lub innego dzieła, a nigdy ze względów oszczędnościowych lub niedbalstwa. Pieniędzy bowiem nie brak, a wszelkie zamówienia realizuje się najwyżej w ciągu dwóch lub trzech tygodni.

Oglądałem stare, pożółkłe egzemplarze biblijne z szesnastego i siedemnastego wieku, drukowane w Paryżu, Wenecji i Amsterdamie. Owe cenne biblie wydawali chrześcijańscy drukarze, a korektorami byli Żydzi. Dr. Szapiro strzeże tych egzemplarzy jak oka w głowie. Umieszczone są wszystkie w sali, sąsiadującej z jego gabinetem, i codziennie obchodzi troskliwie półki, sprawdzając, czy czegoś przypadkiem nie brak.

Nowym cennym nabytkiem Library of Congress

jest biblia Gutenberga. Kupiono ją przed kilku laty w pewnym klasztorze za pół miliona dolarów. Na całej kuli ziemskiej są tylko trzy takie egzemplarze.

Wielka i bogata twórczość żydowska na przestrzeni wieków skoncentrowana została w paru jasnych, przestrzennych salach. Nawet Jankesi chlubią się bogactwem wydziału żydowskiego w Library of Congress.

Na jednej z sal spostrzegłem murzyna, pochylonego nad jakąś księgą hebrajską. Notował coś skrzętnie do zeszytu. Gdy zbliżyłem się do jego stolika, zdziwienie moje wzrosło jeszcze bardziej: murzyn notował w języku hebrajskim. Nie mogłem opanować mej ciekawości i zagadnąłem go w jakich okolicznościach nauczył się hebrajskiego. Na twarzy murzyna pojawił się uśmiech. Oświadczył wręcz, że jest Żydem, że dobrze zna hebrajski i że niebawem otrzyma dyplom rabiniczny. Przygotowuje się właśnie do ostatecznego egzaminu. Opowiadał wiele o kolonii czarnych Żydów w Nowym Jorku. Mają oni własnego rabina, własnych rzezaków i własną synagogę. W Waszyngtonie mieszka również trochę murzyńskich rodzin żydowskich. Mój nowy znajomy przyrzekł solennie, że mnie odwiedzi w hotelu i zaprowadzi do swych czarnych Żydów. Przyrzeczenia jednak nie

dotrzymał. Dowiedziałem się później, że murzyni Żydowscy niechętnie spotykają się z białymi. Przypuszczają, że są jedynie przedmiotem podziwu i obserwacji.

## FILADELFIA.

Zaledwie półtora godziny trwa droga z Nowego Jorku do Filadelfii. Jak bardzo jednak różnią się te miasta. Filadelfia liczy przeszło dwa miliony mieszkańców i jest w porównaniu z Nowym Jorkiem zacisznym, prowincjonalnym miastem. Zewnętrznie mało się różni od stolicy. Posiada liczne gmachy, potężne drapacze, wielkie fabryki, zatrudniające dziesiątki tysięcy robotników. Ruch budowlany jest w tym mieście silniejszy, aniżeli nawet w Nowym Jorku. Nie mniej jednak ze wszystkich miast, jakie wypadło mi w czasie podróży zwiedzić, Filadelfia okazała się dla turysty najmniej ciekawym obiektem.

Już w godzinach wieczorowych całe miasto tonie w półmroku. Skąpe światło elektryczne nie pozwala często na przeczytanie numeru domu lub szyldu. Nawet szofer, dobry znawca miasta, długo wytężać musiał wzrok, zanim zorientował się, że przybyliśmy na wskazany przeze mnie adres. Mieszkańcy dwumilionowej Filadelfii sprawiają

wrażenie ludzi apatycznych, pozbawionych energii i tempa wielkomiejskiego. Pobliska stolica Stanów ze swymi teatrami, rewiami i music-hallami nie nęci ich wcale. Przyzwyczajeni do spokojnego trybu życia, nie pragną rozrywek. Gdy jakaś sprawa wzywa mieszkańca Filadelfii do Nowego Jorku, załatwia on wszystko błyskawicznie i wraca natychmiast do domu.

Filadelfia, podobnie zresztą jak cała Pensylwania, pozostaje pod przemożnym wpływem kleru katolickiego. Na żądanie duchowieństwa wciąż jeszcze obowiązuje tutaj „prawo niebieskie“. W myśl tego prawa wszystkie lokale i miejsca rozrywkowe są w niedzielę i dni świąteczne nieczynne. Młodzieńcza jednak „roztropność“, połączona z silną chęcią użycia, znajdzie zawsze sposób na ominięcie nawet surowego przepisu. Na pograniczu Pensywanii leży „szczęśliwe“ miasto, którego część należy już do innego stanu. W tej części „niebieskie prawo“ nie obowiązuje. Pomysłowy zatem przedsiębiorca wybudował kino, którego gmach mieści się na samym pograniczu. Wejście doń i kasa znajdują się po stronie, nieobjętej „prawem niebieskim“. Młodzież więc tłumnie zwiedza kino ku zadowoleniu swemu i przedsiębiorcy. Zabija tym skutecznie nudę długich świątecznych wieczorów.

Ten dowcipny pomysł z nadgranicznym kinem

cieszy się w Pensylwanii dużym rozgłosem. Jedynie spokojni i melancholijni mieszkańcy Filadelfii pojąć nie mogą, w jakim celu podniesiono tyle hałasu dla zwykłej, niedzielnej rozrywki.

Mieszkańcy Filadelfii uznają jedną tylko przyjemność: wyjazd do Atlantic City, nad brzeg morza. Prawie każdy średniozamożny obywatel posiada willę nad brzegami Atlantyku, gdzie wraz z rodziną spędza dni wolne od pracy.

Zainteresowałem się również życiem Żydów w tym mieście. Wychodzi tu codzienne pismo żydowskie. Już nie raz pismu temu groziło zamknięcie, ze względu na brak środków. Lokalny jednak patriotyzm nie pozwala na zrezygnowanie z kulturalnej placówki. Ilekroć gazeta ma przerwać swe istnienie — organizują Żydzi tutejsi akcję zbiórkową i dziennik jest na jakiś czas uratowany. Szkolnictwo żydowskie rozwija się w Filadelfii dość pomyślnie dzięki wydatnej pomocy organizacyj robotniczych.

Po jednym dniu pobytu miałem już Filadelfii dość. Traf jednak chciał, abym nawet w tym mieście, kołyszącym się nudą prowincjonalną, spędził ciekawy wieczór. W moim notesie figurował adres pewnej nauczycielki tutejszej szkoły. Zadzwoniłem i umówiliśmy się w mieszkaniu jej znajomych, sama bowiem mieszkała daleko za miastem. W związku z przypadającym świętem zebrało się tam spo-

ro inteligencji. Okazało się, że nowa znajoma pochodzi z Palestyny. Jest absolwentką hebrajskiego gimnazujm w Tel-Aviv'ie, a przeznaczenie sprowadziło ją do Ameryki dla propagowania kultury i języka... żydowskiego. Od czasu do czasu występuje również w teatrze. Właściciel mieszkania, w którym doznaliśmy gościny, był z zawodu aktorem. W ostatnich latach, kiedy teatr żydowski w Stanach przechodził ciężki kryzys, zrezygnował ze sceny i zabrał się do innego zawodu: został malarzem pokojowym. Jego żona, z zawodu artystka-malarka, udekorowała ściany skromnego proletariackiego mieszkania obrazami własnego pędzla. Towarzystwo składało się w lwiej części z pedagogów. Od tych ludzi, biorących czynny udział w żydowskim życiu kulturalnym Stanów, pragnąłem się dowiedzieć, jaka przyszłość czeka w tym kraju literaturę i język żydowski. Niejednokrotnie wypadło mi tę kwestię poruszać z różnymi działaczami kulturalnymi. Redaktor chicagowskiego „Vorwärtsu" pokazał mi szereg listów, nadesłanych przez czytelników do redakcji. W listach tych powtarzało się często zdanie: z powodu śmierci ojca, jedynego czytelnika waszego pisma, zmuszeni jesteśmy przerwać prenumeratę. Rzecz charakterystyczna, że grupa literatów i dziennikarzy, zbliżonych do socjalistycznego „Vorwärtsu", raczej pesymistycznie zapatruje się na przyszłość kultury

żydowskiej w Ameryce. Znany natomiast publicysta żydowski, reprezentujący ideologię mieszczaństwa, stwierdził coś wręcz przeciwnego. W okresie, kiedy ustała emigracja do Ameryki i kiedy pesymistyczni właściciele żydowskich gazet widzieli w każdym nieboszczyku straconego czytelnika, nakład niektórych pism wzrastał nieustannie. Był to coprawda okres walki między kapitałem a pracą. Pisma, broniące interesów pokrzywdzonych robotników, zyskiwały naraz tysiące nowych czytelników.

Najbardziej jednak miarodajny jest nauczyciel języka żydowskiego, pozostający w ścisłym kontakcie z młodzieżą szkolną. Nauczyciel z Nowego Jorku, który od lat piętnastu zajmuje to stanowisko w stolicy Stanów, wypowiedział się w sposób następujący:

— Nie wierzcie tym, którzy do tego problemu odnoszą się zbyt pesymistycznie. Nie mają także racji i ci, którzy twierdzą, że żydowski stanie się językiem narodowym Żydów amerykańskich. Codziennie stykam się z żydowskimi dziećmi. Wiem najlepiej, że między sobą mówią wyłącznie po angielsku. Inaczej zresztą być nie może. Szkoła angielska wywiera silny wpływ na naszą młodzież. Szkoła żydowska natomiast zajmuje w jej życiu miejsce drugorzędne. Dziecko przychodzi na nasze lekcje po wielu godzinach nauki w szkole angiel-

skiej. Jest zmęczone, wyczerpane, woli raczej odpocząć i zabawić się. A jednak młodzież nasza nie lekceważy języka żydowskiego. Żydowski w Ameryce oznacza tyle, co hebrajski w krajach diaspory. Mało się nim posługują, ale mało i takich, którzy by go poznać nie chcieli. Młodzież amerykańska rozumie język żydowski, choć bardza słabo nim włada.

Rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy. Długą drogę do hotelu odbyć musiałem pieszo. O drugiej bowiem w nocy nietylko nie widać na ulicach Filadelfii ludzi, ale nie można dostać nawet auta ani tramwaju. Już o wczesnej godzinie śpi spracowana Filadelfia.

## POWRÓT.

Skończyła się długa podróż po prowincji amerykańskiej. Znowu przyjechałem do Nowego Jorku. Czułem się w tym wielomilionowym mieście prawie tak swojsko, jak w rodzimej Warszawie.

W hotelu czekała na mnie obfita korespondencja. Wśród listów znalazłem zaproszenie związku dziennikarzy i literatów nowojorskich na inaugurację ich nowej siedziby. Z zaproszenia tego skwapliwie skorzystałem.

W skromnym lokalu przy Henri Street zebrało się kilkunastu pisarzy i dziennikarzy żydowskich. Wzniesiono okolicznościowych toastów. Wzruszyło wszystkich do głębi przemówienie sędziwego Abrahama Rajzena. O swoich kolegach z Polski mówił z wielką sympatią i uznaniem. Młody literat Łucki okazał się doskonałym recytatorem i humorystą. Pełen subtelnej ironii umiał odtworzyć w słowie i geście sylwetki swoich kolegów po piórze. Następnie brać literacka zabrała się do kie-

liszków. W odświętnym nastroju, już dobrze po północy, udaliśmy się do pobliskiego Café Royal, gdzie spędziliśmy resztę nocy.

Do odejścia okrętu pozostało zaledwie parę dni. Za namową przyjaciół zainteresowałem się bliżej teatrem żydowskim. Zwiedziłem teatr ludowy, w którym dość starannie wystawiono operetkę o naiwnej zresztą fabule. Widziałem również komedię, zatytułowaną: „Raj na ziemi". Rolę główna odtworzył zdolny aktor Rubin. Przyznam się szczerze, że z trudem przesiedziałem dwa akty. Gra aktorów była dobra, lecz sztuka — beznadziejnie płytka. Reżyserem jej był również Rubin, ten sam, który z taką brawurą wystawił w Warszawie komedię Szaloma Alejchema „Dwieście tysięcy".

Miłą niespodziankę przyniósł teatr robotniczy „Artef". Mały ten teatrzyk, mogący zmieścić nie więcej niż trzysta osób, był zapełniony po brzegi inteligentną publicznością. Wystawiono tutaj sztukę niemiecko-żydowskiego pisarza Lewa p. n.. Żeńcy. Sztukę tę widziałem już przed kilkoma laty w sowieckim Mińsku. Grano ją wtedy w państwowym teatrze żydowskim. W robotniczym teatrze „Artef" wystawiono „Żeńców" o wiele skromniej. Gra aktorów nie mogła również dorównać tamtej grze wytrawnych mistrzów sceny. A jednak spektakl wywarł duże wrażenie. Zespół składał się wy-

łącznie z amatorów, którzy w wolnych od pracy chwilach poświęcali się sztuce. Reżyser Benno Schneider dużo mi naopowiadał o niezwykłym poświęceniu młodych aktorów. Prasa amerykańska bardzo serdecznie powitała teatr robotniczy. Poczytny dziennik nowojorski „Times" zalicza „Artef" do najciekawszych teatrów w Ameryce.

W przededniu wyjazdu Federacja Żydów Polskich w Ameryce urządziła mi bankiet pożegnalny. Zgromadzili się przedstawiciele różnych zawodów: lekarze, adwokaci, kupcy, rzemieślnicy i robotnicy. Przemówienie moje o ciężkim stanie gospodarczym Żydów polskich wywołało zrozumiałe poruszenie.

Nadszedł dzień wyjazdu. Okręt „Piłsudski" opuścił Nowy Jork o godzinie pierwszej po północy z portu Hoboken. Z nami wyjeżdżała grupa chaluców. Twarze ich były radosne. Jedynie rodzice, którzy żegnali dzieci, udające się w daleką podróż do Palestyny, zdradzali niepokój i zdenerwowanie.

Okrętem naszym odjeżdżało około stu dwudziestu pasażerów. Padał silny deszcz zmieszany z gradem. Podróżni chowali się do kabin zziębnięci i nasiąknięci deszczem. Podróż dłużyła się niezmiernie. Morze było burzliwe i kapryśne. Z klasy turystycznej nikt prawie nie wychodził na pokład. W trzeciej klasie natomiast huczało i wrzało

bezustannie. To chalucowie śpiewali pieśni palestyńskie i tańczyli bez przerwy „horrę“.

W przyjaznych stosunkach z chalucami pozostawali studenci amerykańskiej Polonii, którzy jechali na wyższe studia do polskich uczelni. Tego, oczywiście, nie mogli przeboleć niektórzy zajadli żydożercy z klasy turystycznej. Starali się przekonać młodych i „niedoświadczonych“ jeszcze studentów o niebezpieczeństwie żydo-komuny.

Nastrój wśród pasażerów podniósł się znacznie, gdy po długiej podróży morskiej, okręt zbliżył się wreszcie do brzegów Kopenhagi. Podróżni, spragnieni lądu, udali się do miasta na przechadzkę wbrew późnej, wieczorowej godzinie.

Nazajutrz przybyliśmy do Gdyni. Czekał na nas w porcie specjalny pociąg. Jadąc przez miasto na dworzec mieliśmy znów sposobność przyjrzenia się Gdyni. Po dziewięciu dniach oceanicznej podróży oko nasze odzwyczaiło się zupełnie od ludzkiego osiedla. Trzypiętrowe domy gdyńskie wydawały się — drapaczami chmur.

---

